

Dziś w numerze: ● Gdzie zgubiliśmy 137 milionów? ● Nowa książka o Łodzi
 ● Kolumna młodych ● Reymoncie nad Wełtawą ● Kaliskie Spotkania
 Teatralne ● Krytycy i film francuski ● Przeklęty fład ●
 Recenzje ● Felietony

odgłosy



Nr 22 (436)
 4. VI. 1967 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Od ODRY 1003 do ZAM-41

Kolorowe oczka kilkudziesięciu maleńkich żarówek migają z błyskawiczną szybkością. Towarzyszy im monotony poszum pracujących mechanizmów. Mleczą inne maszyny z zestawu, czekając w pełnej gotowości na odegranie swojej roli. Jeszcze tylko duży elektryczny zegar, który odnotuje początek i koniec operacji.

EMC, czyli elektroniczna maszyna cyfrowa, Odra 1003 dokonuje właśnie skomplikowanych obliczeń. Dodaje i wynik odkłada do pamięci, teraz z kolei mnoży, następnie siega do pamięci i wydobywa z niej unieruchomiony wynik dodawania, sumuje go z wynikiem mnożenia i ten z kolei znów odkłada do pamięci, wykonuje nowe działanie i znów siega do pamięci... i tak dalej i dalej, aż do ustalenia ostatecznych wyników. Wszystko z szybkością błyskawicy. Heziona w drobnych ułamkach sekundy. Nie popełnia błędów. Ba, wytyka błędy człowiekowi. Zdarza się, iż w trakcie pracy przekazuje na dalekois tak na przykład dłuższą a ciepłą uwagę: „Niepoprawny zwrot, lub brak dwukronka, lub parametr przekracza zakres, lub użyto niedozwolonego znaku”. Kapitalne! Albo sama o sobie: „Jestem sprawna do dalszej pracy. Odra 1003”.

1.

Łódzki Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, w skrócie ZETO, pracuje niespełna rok i zatrudnia zaledwie osiemnaście osób, w tym trzynastu z wyższym wykształceniem specjalistycznym, technicznym i matematycznym. Jest to instytucja szczególna i, ze względu na swą specyficzną pracę usługową, jedyna spośród jedynych w Łodzi. To tutaj właśnie wykonuje swoją misję, tak — misję, cudowne dzieło naszych czasów, obdarowane genialną pamięcią i fantastyczną sprawnością matematyczną, elektroniczna maszyna cyfrowa Odra 1003.

Ta króciutka informacja wprowadzająca jest konieczna, ponieważ mniemam, iż niewielu łodzian wie, jak dalece pożyteczna funkcję spełnia ZETO w naszym przemysłowym mieście, świadcząc usługi przeróżnym instytucjom w zakresie obliczeń numerycznych. Mówiąc prościej, a raczej nieco prościej, ZETO, wykorzystując techniczne możliwości elektronicznej maszyny cyfrowej Odra 1003 mechanicznie rozwiązuje typowe zadania matematyczne na podstawie szczegółowego planu.

Jak przebiega proces takiej operacji usługowej, od zamówienia aż do otrzymania końcowych wyników z EMC? Ujmując rzecz obrazowo, lecz jak najogólniej: kontrahent ZETO, Instytucja Iks, składa w Zakładzie ETO szereg opisanych pytań, na które pragnie znaleźć odpowiedź. Specjaliści z ZETO, wespół z kontrahentem, dokładnie definiują cały problem do rozwiązania, na



Scena z nowego filmu Antonioniego pt. „Powiększenie”, który stał się wydarzeniem Festiwalu w Cannes.

EWA SIEMINSKA

Student — istota nieznana

Na początku było słowo. Zaczniemy od niego: co czytają studenci? Zanim jednak odpowiemy na to pytanie, musimy wyjaśnić kilka spraw.

1^o Przypominamy, że pragnąc zapoznać się bliżej z zainteresowaniami kulturalnymi studentów, redakcja nasza poddała badaniom ankietowym młodzież zamieszkuje 5 domów studenckich przy ul. Lumumby. Otrzymałyśmy łącznie 317 ankiet, w tym: 135 od osób studiujących na Uniwersytecie Łódzkim (80 — kobiety, 55 — mężczyźni), 91 od studentów Akademii Medycznej (37 — kobiety, — 54 — mężczyźni) i 91 — od studentek Politechniki Łódzkiej (same kobiety).

2^o W numerze 19 naszego pisma zamieściliśmy antologię wypowiedzi studentów na temat ich stosunku do nowoczesności w sztuce. Wypowiedzi te, prowokujące swą ostrą opozycją przeciw nowoczesności, charakteryzują w jaskrawy sposób mentalność ankietowanej młodzieży i — jak się wydaje — stanowią ciekawy przyczynek do problematyki odbioru współczesnej sztuki przez społeczeństwo.

3^o Obraz studenta, który zarysowuje się na podstawie zebranych ankiet, dotyczy w swych szczegółowych rysach jedynie objętej naszą akcją młodzieży, tzn. tej części studentów, która mieszka w domach akademickich. Młodzież ta przyjechała na studia z mniejszych ośrodków miejskich lub ze wsi, co ze względu na istniejące często różnice w poziomie nauczania — mogło wpłynąć na cydująco na zasób zdobytych przez nią przed maturą wiadomości i umiejętności. Być może, badając całość społeczności studenckiej, otrzymalibyśmy obraz studenta nieco różniący się od tego, który zarysował się w naszej akcji. Pomimo to materiał uzyskany w ankietach stwarza — naszym zdaniem — podstawę do sformułowania pewnych wniosków ogólnych, ponieważ:

I — Różnice w zakresie zasobu wiedzy wyniesionej ze szkoły średniej mogą wystę-

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 4



W trudnej sytuacji jest komentator, który na kilka dni przed dotarciem tygodnika do rąk czytelników ma omawiać wydarzenia, zmieniające się dostawnie z doby na dobę. A taki właśnie szybki rozwój sytuacji ma miejsce w rejonie Bliskiego Wschodu. Z konieczności przeto mówić będziemy nie o aktualnym stanie stosunków Izrael — kraje arabskie, lecz o przyczynach kryzysu, który wybuchł z niespotykaną dotąd siłą.

Jak czytelnicy orientują się, napięcie na granicy syryjsko-izraelskiej nie jest czymś nowym. Na dobrą sprawę trwa ono, z niewielkimi tylko przerwami, od wielu lat. Jednak w pierwszej dekadzie kwietnia miał miejsce poważniejszy atak wojsk izraelskich na terytorium Republiki Syryjskiej i od tego czasu w Izraelu zaczęto podsycać psychozę wojenną, nawołując wręcz do karnych ekspedycji przeciwko Syrii.

13 maja prezydent ZRA — Naser poinformowany został swoimi kanatami o bliskim już terminie agresji. Postawiło to w stan gotowości wszystkie kraje arabskie, ogłoszono mobilizację. Naser zażądał także wycofania wojsk ONZ z Gazy i Półwyspu Synajskiego, gdzie pozostawały one z górą 10 lat. (U Thant przychylił się do żądania, ponieważ „błękitne hełmy” znajdowały się tam za zgodą ZRA i jeśli ta została wycofana — nie było uzasadnienia dla ich dalszego stacjonowania). Jednocześnie zablokowano zatokę Akaba dla statków izraelskich i pływających pod innymi banderami, a przewożących materiały strategiczne dla Izraela.

Napięcie, podtrzymywane wojowniczymi oświadczeniami Izraela i koncentracją wojsk na pograniczu z Syrią, wzrosło do godziny na godzinę, groząc otwartym konfliktem. Natychmiast więc przystąpiono do akcji dyplomatycznej, mającej na celu cofnięcie wydarzeń. W tym też celu udał się do ZRA sekretarz generalny ONZ — U Thant. W chwili, gdy przygotowywał komentarz do druku, nie udało się jeszcze zamrozić napięcia.

Tak w telegraficznym i daleko niepełnym skrócie przedstawia się budzący uzasadnione obawy rozwój wydarzeń w rejonie Bliskiego Wschodu. Kto jest odpowiedzialny za ten stan?

W odpowiedzi przytoczymy fragment oświadczenia rządu ZSRR, opublikowanego przez agencję TASS. Czytamy tam m. in.:

„Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że Izrael nie mógłby postępować w ten sposób, gdyby określone kółka imperialistyczne, usiłujące przywrócić ucisk kolonialny na ziemi arabskiej, nie zachęcały go pośrednio i bezpośrednio. Kółka te — w obecnych warunkach — ubażają Izrael za główną siłę, skierowaną przeciw państwu arabskim, które prowadzi niezależną politykę narodową i które przeciwstawia się presji imperializmu”.

Inaczej mówiąc — główne źródła konfliktu leżą poza tym rejonem. Izraelowi wyznaczono z ramienia państw imperialistycznych rolę kolonialnego nadzorca nad ludami arabskimi i tę funkcję gorliwie spełnia.

Wydarzenia na Bliskim Wschodzie dotyczą nie tylko tego rejonu. Jak wszystkie zresztą we współczesnym świecie — mają aspekt międzynarodowy, wymykający z różnorodnych powiązań i systemów gwarancji. Z tego też względu nie wydaje się, aby konflikt mógł być rozwiązany lokalnie, tzn. tylko przez bezpośrednio zainteresowane strony. Na jakiej płaszczyźnie będzie możliwe jego rozstrzygnięcie — w tej chwili trudno przewidzieć. W każdym razie złagodzeniem napięcia i utrzymaniem pokoju w rejonie Bliskiego Wschodu zainteresowane są wszystkie narody, podsycając konflikt natomiast jedynie kółka kolonizatorów.

Kryzys izraelsko-arabski odsunął w ostatnich dniach na dalszy plan inne wydarzenia. Wśród nich wizyta ministra spraw zagranicznych W. Brytanii — Browna w Związku Radzieckim. Odłożona w pierwotnie ustalonym terminie (także z powodu sytuacji bliskowschodniej) — doszła do skutku w dniach 23—25 maja. Traktowała ją trzeźwo jako kontynuację okresowych konsultacji między rządami radzieckim i brytyjskim. Również tym razem w zasięgu rozmów znalazły się wszystkie najważniejsze problemy międzynarodowe, a szczególnie: Bliski Wschód, Wietnam, bezpieczeństwo europejskie i nierozpowszechnianie broni jądrowej. Jak wynika z relacji rzecznika radzieckiego MSZ — wymiana poglądów była pozytywna, chociaż w odniesieniu do niektórych dyskutowanych kwestii utrzymały się różnice zdań. Dotyczy to np. sytuacji bliskowschodniej. Anglia w gruncie rzeczy popiera Izrael, chociaż to ona właśnie — powtórzmy jeszcze raz — prowadząc wrogą politykę wobec państw arabskich ponosi odpowiedzialność za obecne zaostrzenie. Zbieżność poglądów utrzymała się natomiast co do konieczności dalszego osłabiania napięcia w Europie i rozwoju dobrych stosunków między wszystkimi krajami naszego kontynentu.

I jeszcze kilka słów o zapowiedzianej oficjalnym komunikatem wizycie prezydenta de Gaulle'a w dniach 7—13 czerwca w Polsce. Zwraca ona uwagę obserwatorów z wielu względów, przede wszystkim jednak dlatego, że jest to druga — po Związku Radzieckim — podróży głowy państwa francuskiego do socjalistycznego kraju. W czasie wizyty przeprowadzone zostaną rozmowy na najwyższym szczeblu, które z pewnością nie ograniczą się tylko do stosunków bilateralnych, lecz także obejmą zasadnicze zagadnienia współczesnego świata.

O Francji, jej pozytywnym oddziaływaniu na europejskim kontynencie w sprawie pokoju i bezpieczeństwa — pisaliśmy już na tym miejscu niejednokrotnie. Tym większa jest więc waga wizyty i francusko-polskiego dialogu na szczycie, który rozpocznie się za kilka dni.

W. SŁAWSKI

Technika TYGODNIA



(DIE FURCHE)

■ O źródłach kryzysu bliskowschodniego: „Morning Star”: Bez względu na to, czego sobie życzą mieszkańcy Izraela, Wielka Brytania i USA posługują się rządem tego kraju jako narzędziem wymierzonym przeciw ruchowi niezależności narodowej na Środkowym Wschodzie, który przeciwstawia się zarówno zagranicznej eksploatacji imperialistycznej jak i miejscowym ciemnościom feudalnym.

„L'Humanité”: Nie można obu stron obarczać odpowiedzialnością za kryzys. Z jednej strony — przygotowano agresję przeciwko Syrii, a obecnie wysuwa się groźby przeciwko Egipcjowi. Z drugiej — dokonywane posunięcia prewencyjne przeciwko realizacji planów rządu izraelskiego. Druga strona gotowa jest stawić czoło ewentualnej próbie siły, lecz równocześnie wykazuje ochotę odstraszenia agresorów i zabezpieczenia pokoju.

■ Do Wielkiej Brytanii przybyła radziecka delegacja handlowa prezentując w Londynie najnowsze modele odzieży projektowanej przez domy mody Moskwy, Mińska i Rygi. Zainteresowanie pięćdziesiątki wzbudziły mini-splendory, 12,5 cm powyżej kolan. Prasa brytyjska stwierdza, że długość te są, jak na modę angielską, umiarkowane, natomiast znacznie krótsze niż spódnice na kontynencie europejskim i w Stanach Zjednoczonych. Członkowie delegacji radzieckiej oświadczyli, że owe mini-splendory skrócono od 2,5 do 5 centymetrów już po przybyciu do Londynu.

■ 18 krajów świata podjęło współpracę nad stworzeniem pierwszego ogarniającego cały glob systemu przekazu telewizyjnego — via 4 satelitów, 3 amerykańskich i jednego radzieckiego. Dwugodzinna audycja zatytułowana „Nasz świat” oglądana będzie przez około 500 milionów ludzi z pięciu kontynentów. Audycja zostanie nadana w niedzielę 25 czerwca, o godzinie 19 czasu Greenwich.

■ Wielkonakładowy „Washington Evening Star” podaje, iż sam tylko koszt strą-

conych nad Wietnamem samolotów wynosi około czterech miliardów dolarów, natomiast „szczęśliwie obliczone” zwolenników zwycięstwa przy pomocy sił lotniczych — doprowadziły, jak się zdaje, administrację Johnsona do popelnienia największego błędu w wojnie wietnamskiej”.

■ Michał Szolochow na IV Zjeździe Pisarzy ZSRR: „Nie wiem, co odczuwają inni delegaci na Zjazd, ale mnie osobiście ogromnie martwi nieobecność mojego drogiego, starego przyjaciela, Iłji Grigoriewicza Erenburga. Patrząc, patrzysz — nie ma Iłji Grigoriewicza, jakby ci czegoś brakowało, czujesz się nieswojo, aż w dołku ścieka i smutek jak czarna cień pada na mój, skądinąd bezchmurny nastrój... Gdzie Erenburg? Okazuje się, że w przededniu Zjazdu wyruszył ku brzegom Italii. Niezbyt jakos ładnie postąpił mój przyjaciel... Nie wypada w kolektywie stawić siebie ponad wszystkich i działać w myśl dewizy kłótniwej: tak robie, jak mi się podoba”.

■ Komitet złożony z rzymsko-katolickich księży w Stanach Zjednoczonych podjął działanie zmierzające do zmiany przepisów prawa kanonicznego idącego w kierunku zezwolenia księżom na zawieranie związków małżeńskich. W tym celu przeprowadzono ankiety wśród 7 tysięcy duchownych na temat ich stanowiska w sprawie celibatu. Rzecznik owego pół-oficjalnego organu oświadczył, iż jego członkowie posługują się uzyskanymi z ankiety wynikami, aby przekonać amerykańskich biskupów, że zmiana przepisów w sprawie celibatu jest niecierpiącym zwłoki problemem.

■ Fidel Castro: „Jednym z największych ciosów, jakie Kuba wymierzył może imperialistycznej polityce Stanów Zjednoczonych, jest podniesienie produkcji cukru do 10 milionów ton”.

■ W informacjach z Tirany podaje się, że około 70 proc. albańskich obrotów handlu zagranicznego przypada na Chińską Republikę Ludową. Na polach Albanii pra-

cuje 7 tysięcy chińskich traktorów. W każdym mieście i wsi albańskiej widzi się liczne pomniki — popiersia Józefa Stalina.

■ Pierre Salinger, były sekretarz prasowy Białego Domu, powiedział swym przyjaciółom, że gotów jest założyć się o 4 tysiące dolarów, że prezydent Johnson nie będzie ubiegał się o ponowny wybór na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych w 1968 roku. Salinger — stwierdza „Washington Post” — jest tak przekonany o tym, że gotów był podwoić zakład.

■ W prasie amerykańskiej mnożą się brutalne ataki przeciw sekretarzowi generalnemu ONZ U Thantowi. Motywy tych wystąpień jest przede wszystkim stanowisko U Thanta wobec kryzysu wietnamskiego. Reprezentatywna dla tych głosów jest wypowiedź Barry Goldwata: „Jednym z najważniejszych, choć pokrywanych grzecznym milczeniem sankcji wroga w wojnie wietnamskiej jest myślenie o immunitetu dyplomatycznego, zajmowana przez U Thanta. Pora już chyba, aby ktoś zapłacił, co mianowicie wyprawa ten rzekomo światowy urzędnik?”

■ Belgradzka „Borba” pisze, iż nowa polityka rolna Związku Radzieckiego, oparta na lepszym wykorzystaniu praw ekonomicznych, demokratyzacji życia społecznego i gospodarczego na wsi, zwiększeniu inicjatywy kolchozów i sowchozów oraz na połączeniu interesów państwowych organizacji gospodarczych i wytwórców, sprawdziła się w życiu praktycznym. Dziennik wyraża przekonanie, że obecne posunięcia są początkiem, a nie końcem zmian w polityce rolnej.

■ „Sądze, że pierwsza połowa mojego życia się zamknęła. Przygotowuję się do walki u progu następnej połowy” — rzekł znakomity filozof brytyjski Bertrand Russell w dniu obchodów 95 rocznicy swoich urodzin.

■ W Pekinie ponad 10 tysięcy osób wzięło udział w wiecu organizowanym w celu wyrażenia poparcia walce narodu arabskich przeciwko „amerykańskiemu imperializmowi” i ich bawie agresji — „Izraelowi”. Na wiecu obecny był premier Czou En-laj.

■ Od 1 lipca wejdzie w życie w Bułgarii podwyżka dodatków rodzinnych na dzie-

■ Brytyjski „Sunday Times” zarzucił ministrowi spraw zagranicznych Brownowi łamanie tradycji, starych obyczajów i nonszalanckie zachowanie się w czasie przyjęcia w pałacu Buckingham wydane go na cześć króla Arabii Saudyjskiej, Fajsala. Według relacji „Sunday Times” podczas tego przyjęcia Brown objął w pół księżniczkę Malgorzatę i przygarnął ją do siebie mimo dyskretnej, acz stanowczej interwencji księcia Filipa. „Jeśli chodzi o mnie — rzekł później Brown — to rzeczywiście nie lubię nastroju kreowanego oficjalnym protokołem”. Co zaś tyczy się sprawy księżniczki Malgorzaty, relacje podane w „Sunday Times” są „całkowicie i absolutnie nieprawdziwe”.

■ Radziecki dziennik „Prawda” publikuje artykuł na temat wzmagającej się w USA propagandy antyradzieckiej. Polityczne plugawstwo tych wrogów Związku Radzieckiego — pisze „Prawda” — nie ma granic. Z natłafnitych wyciągnięto Kiereńskiego, przygotowuje się wydanie „pełnego zbioru dzieł chorego psychicznie Tarsisa, dla tych samych wstrętnych celów wykorzystuje się radziecką odywatelkę Swietłanę Alilujewą, którą agenci CIA przetrucili początkowo z Indii do Szawcari, a niedawno dostarczyli do USA. Krócej mówiąc, w Waszyngtonie nie brzydzą się niczym.

■ Władze zachodniemieckie zmuszone były przyznać, że skrajna prawica, uosobiana zwłaszcza przez NPD, ulega w NRF wzmocnieniu. W opublikowanym raporcie stwierdza się, iż w okresie 1966 roku liczba członków wzrosła o 11 tysięcy, osiągnąwszy liczbę 25 tysięcy. Zwraca uwagę fakt poważnego udziału byłych hitlerowców w szeregach NPD. Usadowili się oni zwłaszcza we władzach kierowniczych partii stanowiącej 76 proc. ich składu.

■ Członek Komitetu Wykonawczego KC ZKJ, B. Szaszkić: „Reorganizacja i przekształcenie Związku Komunistów Jugosławii dokonuje się nie z powodu jakichś jego potrzeb wewnętrznych, lecz po to, aby mógł on bardziej skutecznie i z większym powodzeniem prowadzić walkę o dalszy rozwój socjalistycznych stosunków społecznych”.

LISTY do REDAKCJI

W numerze „Odgłosów” z 14 maja ukazał się interesujący artykuł Konrada Frejdliha o Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Ludwika Waryńskiego.

Przeczytałam ten artykuł z przyjemnością, gdyż wydoły z zapomnienia nazwiska ludzi zasłużonych, o których powojenne pokolenie na pewno nie słyszało...

Nieprzyjemnie zdziwiło mnie tylko jedno. Autor wspomina o kolejnych przeprowadzkach Biblioteki, o tym, że po wojnie przenosiła się do nowego gmachu przy ul. Gdańskiej, szkoda, że przy okazji nie nadmienić, że gmach ten, już w 1939 r. zbudowany, tylko jeszcze nie wykończony, ufund-

wany został przez senatora Aleksandra Heymana-Jareckiego. Gdyby nie ten piękny dar, Biblioteka musiałaby na pewno jeszcze kilka lat poczekać na inne locum. Wydaje mi się, że należało się to pamiętać człowiekowi, który nie ton jeden gmach wybudował i podarował miastu (szkoła w Łodzi, szkoła w Gdańsku).

Mam nadzieję, że autor artykułu nie weźmie mi za złe tej drobnej uwagi.

IRENA ADAMSKA

...Czytam w ostatnim numerze recenzje Wacława Kondka z filmu „Grok Zorba” w formie listu. Wspaniale! Film znam i ujęcie treści oraz podkreślenie niedopowiedzeń filmu jest znakomite, zy-

we i co więcej pełne artystycznych wartości. CWF (Centrales Wynajmu Filmów) winna opłacać takie omówienia. Więcej przyciągną widzów niż audie, często przemierzające dwa muzje”. Proszę ode mnie usłyskać p. Kondka (dłoo!).

ZDZISŁAW ZGHERSKI

SZANOWNY PANIE!

Przeczytałam ostatnio artykuł p. „Ekonomia w krajach longplay’u”. Szczerze ucieszyłem się, że narzecze ktoś skrytykował na łamach prasy polski przemysł nagrań. Nagrania płytowe, szczególnie muzyki młodzieżowej są wydawane najczęściej z dużym opóźnieniem, tzn. wtedy, gdy dany utwór nie jest już przebojem. Np. na świetnie nagraniu Czesława Niemena „Sen o Warszawie” trzeba było czekać ok. pół roku od prezentacji tej piosenki w



Johnsonowskie gołębie pokoju.

radio. Dlatego też my młodzieńcy kupujemy pocztówki dźwiękowe, często nawet z polskimi piosenkami. W krajach zachodnich nagrania bestsellerowe ukazują się najpierw na singlach, a potem na longplay’ach z tym, że utwory to nie są prezentowane nigdzie aż do wydania płyty. Bardzo ciekawe kiedy w Polsce tak będzie. Owszem ostatnio ukazał się longplay „Czerwonych Gitar”, który zawiera kilka zupełnie nieznanych piosenek, lecz jest to jak na razie jedyny taki przypadek. Dlatego „Promit” czy „Polskie nagrania” nie zdobyły się na to by wydać jakąś płytę C. Richarda, Beatlesów, Animalsów czy innych znanych wykonawców, nawet ze starymi nagraniami. Czy nie mogłoby Polacy wziąć przykład z wytwórni „Amiga” z NRD, która wydała jednego longplay’a i jednego singla z piosenkami Beatlesów. Płyty te miały ogromne powodzenie.

J. NOWICKI

Student — istota nieznana



(Dalszy ciąg ze str. 1)

pować wyraźniej jedynie w początkowym okresie studiów. Później poziom ten ulega wyrównaniu. A przecież nasza akcja objęła studentów wszystkich lat studiów.

II — Różnice — i to dość znaczne — w poziomie nauczania występują także we wnętrzu ośrodków wielkomijskich, a egzaminy wstępne na wyższe uczelnie dowodzą, że prowincja z powodzeniem walczyć może z młodzieżą wielkomijską o przyjęcie na studia.

Co czytają studenci? Jaka interesują się problematyka? Jaka forma pisarstwa przemawia do nich najbardziej? Jaki jest stopień intelektualnego wyrobienia młodzieży studenckiej? Aby uzyskać dane pozwalające zorientować się w tych zagadnieniach, zadaliśmy w ankietach następujące pytania: — Kto jest Pana(i) ulubionym: a) prozaikiem, b) poetą — Proszę podać 3 tytuły najbardziej ulubionych przez Pana(i)a książek? — Jakie czasopisma stale Pan(i) czyta? — Kogo z polskich publicystów ceni Pan(i) najbardziej?

Ze względu na typ studiów uniwersyteckich różny od wyraźnie profesjonalnego nastawienia studiów politechnicznych i medycznych, opracowaliśmy oddzielnie niektóre dane statystyczne. Stwierdziłszy natomiast, że na zainteresowania humanistyczne młodzieży nie wpływa w prawie żadnej mierze rok studiów. Dowodziłoby to, że zainteresowania te kształtują się w sposób zasadniczo wcześniej, w okresie szkoły średniej. To równocześnie problem odpowiedzialności tejże szkoły nie tylko za stan wiedzy młodzieży w zakresie humanistyki, ale także za ukształtowanie jej zamiłowań, za wdrożenie jej do dalszych, samodzielnych poszukiwań.

Jaka prozę cenią studenci najbardziej? Którzy pisarze są ich ulubieńcami?

POLITECHNIKA I AKADEMIA MEDYCZNA

40	Sienkiewicz
24	Zeromski
21	Hemingway
9	Kraszewski
7	Steinbeck

POLITECHNIKA I AKADEMIA MEDYCZNA

40	Gałczyński
24	Słowacki
18	Mickiewicz
16	Broniewski
13	Asnyk

12	Pawlikowska-Jasnorzewska
9	Tuwim
4	Różewicz, Sztudynger
3	Norwid, Staff, Hillar
2	Kasprowicz, Kochanowski
1	Leśmian, Tetmajer, Byron, Puszkina, Kern

UNIwersYTET

28	Gałczyński
17	Tuwim
16	Pawlikowska-Jasnorzewska
11	Norwid, Staff
10	Słowacki
8	Różewicz
7	Broniewski
6	Mickiewicz
5	Asnyk, Kasprowicz, Grochowiak
3	Jewtuszenko, Hillar
2	Tetmajer
1	Jesienin, Goethe, Keats, Homer, Leśmian, Szymborska, Rilke, Bałczyński, Miłosz, Jastrun, Bryll

Po maturze okazja do dalszego kształtowania zainteresowań humanistycznych młodego człowieka jest czytanie odpowiedniej prasy. Czy młodzież studencka wykorzystuje te szansę? Zadaliśmy jej pytanie:

Jakie czasopisma stale Pan(i) czyta? Oto odpowiedzi:

160	Przekrój
113	Kultura
96	Dookoła Świata
65	Polityka
52	Forum
47	Id.
40	Życie Literackie
32	Kobieta i Życie
23	Filipinka
20	Politechnik
18	Panorama Śląska
16	Radar, Film
13	Przyjaciółka, Karuzela
12	Kulisy
11	Ty i Ja
10	Zyjmy Dłużej
7	Współczesność, Zwierciadło, Nowa Wieś, Magazyn Polski, Prawo i Życie, Panorama Północy, Polska, Szpilki
5	Służba Zdrowia
4	Problemy, Świat, Motor
3	DIALOG, Ekran, Poezja, Kino, Jazz
2	Przyjaźń, Tygodnik Powszechny
1	Twórczość, Teatr, Ameryka

Zestaw ten wystarczająco określa, jakich treści szuka młodzież studencka w prasie. Na ogół tytuły pism trudniejszych, bardziej ambitnych występują razem, nie w pojedynkę.

Których publicystów cenią studenci najbardziej? Większość nie ma w ogóle wyrobionego zdania na ten temat i po prostu nie odpowiedziała na pytanie. Oto zwycięzcę naszego małego plebisytu:

42	K. T. Toeplitz
20	Hamilton
16	O. Budrewicz
14	A. Brycht
12	K. Małcużyński
8	J. Lovell
7	J. Waldorff
6	W. Maciąg
4	W. Falkowska

Gdyby miała przyznać nagrodę jednemu z odpowiadających, dałabym ją studentowi fizyki, który oświadczył, że z polskich publicystów ceni najbardziej T. Boya-Zeleńskiego.

Odpowiedzi studentów wskazujące ulubionych prozaików i poetów, wyraźnie korespondują z ich sadami o nowocześnieści w sztuce. Czyżby ich zdumiewający tradycjonalizm, wrogość wobec nowocześnieści tak sprzeczna z duchem młodości miały swe źródło w atmosferze szkoły średniej? Podobne pytanie prowokuje zestaw ulubionych przez studentów malarzy:

63	Van Gogh
29	Matejko, Chelmoński
24	Picasso

20	J. Kossak
16	Wyspiański
9	Rembrandt
7	Gierzyński, Wyczółkowski
6	Toulouse-Lautrec, Cezanne
5	Renoir, Modigliani
4	Goya, Malczewski, Grotter, Gauguin, Leonardo da Vinci, Michał Anioł
3	Rodakowski, Degas, Monet
2	Nikifor, Makowski, Rafael, Matisse, Canaletto, Rubens
1	Ociepka, Siemiradzki, El Greco, Klee, Utrillo, Manet, Lewitan, Chagall, Braque

Spośród 317 ankietowanych — 98 studentów nie było nigdy w filharmonii, 58 osób — zaledwie kilka razy, a 14 — kilkanaście. 104 studentów oświadczyło co prawda, że chodzi do filharmonii „od czasu do czasu”, ale określenie to jednoznacznie jest właściwie ze stwierdzeniem „rzadko” lub „bardzo rzadko”. 4 studentów to melomani — chodzą do filharmonii co tydzień.

Znacznie lepiej wygląda sprawa obycia teatralnego, lecz o zadumę przyprawia oświadczenie 15 studentów, że spektaklem, który wywarł na nich największe wrażenie była... „My fair lady”. 108 osób chodzi do teatru mniej więcej raz w miesiącu, częściej — 76 osób. Co dwa miesiące — 24 osoby, rzadko — 80, w ogóle — 3. Na pytanie: Który spektakl teatralny wywarł na Panu(i) największe wrażenie? — studenci odpowiedzieli następująco:

POLITECHNIKA I AKADEMIA MEDYCZNA

22	Mocne uderzenie
20	Ojciec
18	Tango
13	Drewniana miska
9	Namiestnik
8	My fair lady
7	Kto się boi Virginii Woolf?
3	Fizycy, Dziady, Czarownice z Salem, Ostatnia stacja, Kartoteka, Książ Igor
2	Sonata Bełzebuba, Biała diablica, Traviata, Kowal, pieniądze i gwiazdy
1	Burza, Skowronek, Derby w pałacu, Fajerwerki, Historia o chwalebny smartwychwstaniu Pańskim, Halka, Niemcy, Straszny Dwór, Indyk, Radosne dni, Sen srebrny Salomei, Ciemności kryją ziemię, Drzewa umierają stojąc

UNIwersYTET

19	Tango
12	Ojciec, Mocne uderzenie
8	Czarownice z Salem
7	My fair lady, Namiestnik, Sonata Bełzebuba
6	Kartoteka, Kto się boi Virginii Woolf?
3	Sen srebrny Salomei, Ostatnia stacja, Książ Igor
2	Kowal, pieniądze i gwiazdy, Fizycy, Indyk, Oni, Wesela
1	Śmierć komiwojażera, Pani Dally, Piękna Helena, Mława, Po upadku, Biała diablica, Kariera Artura Ui, Chłopczy, Dziady, Drewniana miska, Dzika kaczka



W świetle wyników przeprowadzonej przez nas ankiety, intelektualne wyrobienie młodzieży studenckiej trzeba by chyba postawić pod znakiem zapytania. Czy jest to wynik tylko i wyłącznie daleko posuniętej specjalizacji poszczególnych kierunków studiów, czy przyczyn takiego stanu rzeczy należy szukać też gdzie indziej? Problem to chyba również ważny, co trudny i skomplikowany. Ale tym bardziej trzeba o nim mówić. Toteż przedstawione materiały traktujemy jako wstęp do dyskusji, do której zapraszamy zarówno studentów, nauczycieli, naszych artystów, jak i wszystkich innych zainteresowanych.

EWA SIEMIŃSKA

Nożycami przez PRASĘ

O CO CHODZI W ROLNICTWIE?

Przekroczono plan kontraktacji zbóż. To nowe przedsięwzięcie, więc niełatwe, gdyż dotąd kontrakty towarowe przed wszystkim buraki, tytoń, rośliny oleiste. Dowiadujemy się o tym z artykułu Józefa Śmietańskiego, zamieszczonego w „Polityce”. Jego tytuł: „Operacja LIZ”.

Operacja LIZ — likwidacja importu zbóż — to jedno z najbardziej skomplikowanych przedsięwzięć gospodarczych bieżącej 5-latki. Składa się na nią rozbudowa przemysłu nawozowego, paszowego (w tym i suszarni ziemniaków), budowa elewatorów zbożowych, kolosalny wzrost przewozów (ok. 9 mln ton nawozów, 8-10 mln ton zbóż i pasz), unowocześnienie produkcji rolnej i zmiany jej struktury. Po-

wodzenie tego przedsięwzięcia, na zasadzie naczyn polaczonych zadecyduje o wielu innych pozycjach bilansowych 5-latki, w tym i o bilansie handlu zagranicznego.

KOT

„Kultura” przynosi obszernie rozważania reportażowe płora Krystyny Gołańskiej, związane z krakowskim procesem Karola Kofa. Oto ich konkluzja:

Zdolność czy niemożność kierowania swym postępowaniem przez oskarżonego będzie najprawdopodobniej najbardziej ważkim czynnikiem, który zadecyduje o jego odpowiedzialności za straszliwe, okrutne i nieodwracalne krzywdy i zbrodnie jakich się dopuścił. Właśnie ogrom tych zbrodni sprawia, że opinia społeczna w przeciwnym razie do opinii fachowców — jest jednolita. Ale wy-

mierzanie kary nie może być zemstą, nie może być nikaż też jedynie z odczuć zbiorowych. Jest ono trudnym zadaniem, wymagającym i sumienia, i wielkiej wiedzy o człowieku.

IDEALY NA CO DZIEŃ

Jeśli chodzi o przeglądy prasy, wyróżnić należy pro wadzoney w „Życiu Literackim” przez M. A. Styksa, Styks najchętniej przebywa w wyższych regionach zagadnień, ale niemal z reguły nie brakuje mu punktów oparcia w roznaganiu rzeczywistości i w rozsądku. Dlatego należy zacytować jego głos na marginesie dyskusji jaka niedawno przyniosła „Polityka” na temat kultury masowej, tej „ideologii na co dzień”.

Streszczając dyskusję, Styks sprowadza rzecz do najistotniejszego zagadnienia: — W tym wielkim materii pomieszanu zabrakło argumentu modelowego. Nie odczują go ruszać gdy się wspomni choćby misernie dzieła takiego np. wzornictwa przemysłowego... Tym niemniej, tu nies pogrzebany. Oglądanie się na odbiorcę, to młodo — gdy właśnie on, odbiorca (i — często improwizatorski —

współtwórca) naszego sposobu bycia... sam ogląda się na wszystkie strony. I jakże by inaczej. Przecież o awansuje realnie, co dzień coś zdobywa, do czego goś nowego się akomoduje — szuka sposobu! Nie ma tu rzeczy małych, nieważnych. Weźmy taki styl butelecki odbijane o kanalik. To na pewno nie był szczyt jego marzeń o awansie. Sposobik wyniki z konieczności i pierwszy raz, być może, został użyty z zażenowaniem. Aleśmy go artystycznie autoryzowali, utrwalił. (Cześć — nie.) Albo: czy warto zwracać się do milicjanta o interwencję w sprawie obrazu słownej, nie mając śladów pobicia?...

Gdy obie strony oglądają się na siebie, inicjatywę przejmie nie najmarkiejszy, lecz najmniej obciążony impudencjami. Znakiem reżyser Reinhardt powiedział: „Kto się ogląda za publicznością, będzie zawsze widział tylko jej plecy”. Potrzebny więc model i jakaś propedeutyka osiagania wzorca modelowego — z dwojgiem przemysłowymi sankcjami. — Nie demonizujmy tych „mas” i nie biegajmy za nimi „na skrót”, dla sora wozdawczości. Każdy

owych mas członek — nie demon, lecz człek w gruncie rzeczy poezji — chętnie przyjmie każdy „fason”, każda propozycję niezbyt nudną, jeśli dostreże jej wygodę i jej związek z osobistymi nadziejami. — A jednocześnie nie będzie odciecia od tych spraw, jeśli doda się do tego uwagi Jana Szelaza z „Kultury”. Przytaczaliśmy na tym miejscu wypowiedź KTT o tym, iż należy na przykład szukać nowych form dla Dni Oświaty, Książki i Prasy. Nadal jesteśmy tego zdania. Ale Szelag przypomina, iż ludzi płora cęchute swości subiektywizm. Nie można patrzeć wyłącznie z wysokości Kafki, wleży Eiffla czy eksperymentu poetyckiego.

Nasza grupa ludzka wydana jest, ze względu na swój charakter i swoją pracę, na wielką ilość przeżyć, bodźców, zmian i mód. Zyjemy w pewnym sensie i w pewnym zakresie szybciej niż inni nasi współobywatele. Nam poezja współczesna, i ta już się przejadła, i dalej nie wiadomo co. A jednocześnie młody chłopak w Pułtusk

czy dziewczyna we wsi pod Rzeszowem odkrywa właśnie piękno wiersza „Do Laury” i przeżywa je jako wielki wstrząs duchowy. My nieco już zblazowani staramy się zainteresować nowym filmem Antonioniego, a w kinie na Targówku płaczą o „Zakazanych piosenkach”. I te przeżycia tego, cośmy już dawno porzucili, wcale nie mają mniejszej wartości niż nasze przeżycia. Tyle, że one nie znajdują żadnego publicznego wyrazu.

Siad nasze pomyłki krytyczne. Nasze pomyłki co do społecznych zjawisk sztuki. Po prostu myślimy, czemu i piszemy nie dialektycznie. Czas jest dla nas tylko ten co na kalen darzu i na cyferblacie naszego rocznego zegarka. A czas jest wielopłaszczyznowy. Każdy człowiek oddzielnie ma swój własny czas. Dodajmy od siebie jeden wymowny przykład z ostat nich miesięcy: odcinki filmowe cyklu „Cztery pan cerni i pies” różna reprezentowały wartość artystyczną, parę z nich było zdecydowanie słabych, jednak ich społeczny oddźwięk, możemy to nazwać społecz-

nym oddziaływaniem, prze szedł wszelkie oczekiwania.

Ostrożność jednak nigdy nie zawadzi. Na „społeczne oddziaływanie” może się powoływać zwyciężna tandeta i szmiral! Czyli: nie biegajmy też „na skrót”...

DLA POETÓW I ICH CZYTELNIKÓW

Nowy tom „Rzeczy poetyckiej” (Wyd. Łódzkie) przynosi w naru wypadkach teksty znane już skądinąd (jak do tego doszło?), mimo to stanowi lekturę zajmującą. W szkicu z pośmiertnej puścizny Wojciecha Bała czytamy: — Sam fakt, że Koźmian umiował technice klasyki styczna, nie rozstrzyga o wartości poety, w samej bowiem tej technice nie ma gwarancji poetyckości lub jej zaprzeczenia. W pewnej części swej twórczości posługuje się nią na wet Goethe, nie mówiąc już o Hölderlinie... Przykłada te przytoczam dla wykazania przez nazwiska bardzo wybitne, jak najw na rzecz jest przypisywana nie środkom technicznym wagi, jakiej one nie mają.” — JAN OLECHNO

Gdzie zgubiliśmy 137 milionów?

Szli przytuleni do siebie — wiosenny spacer zakochanych. Zatrzymali się przy krajeźniku, gdzie stał smukły szarobłękitny ford. „O, taki właśnie kupię, tylko w innym kolorze” powiedział chłopak. „Kupisz?” zdziwiła się dziewczyna. „No tak, jak wygram w toto-lotka”. Ktoś obok parsknął śmiechem, ktoś inny pokławił głową. Ale na ogół tak planowanie cieszy się powszechnym zrozumieniem. Samochód, willa z ogródkiem, wycieczka na Hawaje i mnóstwo innych marzeń ma zrealizować wygrana w totka. Optymiści, natury bardziej subtelne, mówią: podatek od marzeń. Pesymiści, natury bardziej przyziemne, pozbawione fantazji: podatek od głupoty. Przy czym pierwsi zawsze grają, drudzy przeważnie nie.

Totalizator sportowy przeżył poważny atak opinii społecznej na swoją egzystencję. Ze hazard i ogłupianie ludzi, że wyrzucanie pieniędzy w błoto. Może być i hazard, oczywiście, ale jak się ma żyć, to z wszystkiego można zrobić hazard. Z brydza i warców, z domina i gry w guziki. Wyrzucania

raci czy nad morzem trzeba pozbiierać pieniądze i toto idzie w odstawkę. Długie zimowe wieczory sprzyjają kontemplacji systemów gry i marzeniu o perspektywach wygranej.

Są łodzianie marzycielami, czy realistami? Udział Łodzi (łącznie z województwem) w ogólnopolskich wpływach z zakładów Totalizatora wynosi 9,1 proc. Zajmujemy trzecie miejsce — po Śląsku i Warszawie. Gra 100 tysięcy łodzin i 70 tysięcy mieszkańców województwa w 170 punktach toto-lotka. Czyli co siódmy mieszkaniec Łodzi, wliczając starców i dzieci, każdego tygodnia wypełnia kupony i czeka na szczęście. Jednak miasto marzycieli.

Jakie są szanse? Praktycznie rzecz biorąc, przy wypełnieniu jednego kuponu prostego za 2 złote szansa wygranej jest jak 1:13 milionów. Niewielka? Tak, ale tu się nie rozumuje, tu się liczy na szczęście. Czasem przychodzi. W sierpniu ubiegłego roku na kupon 2-złotowy, podczas losowania w Łodzi, ktoś z województwa bydgoskiego wygrał ponad pół miliona złotych. To był ten traf jeden na trzyście milionów. W oddziale łódzkim przeciętnie pada w ciągu roku 15 wygranych w wysokości od 200 tysięcy do miliona złotych. Też niedużo, ale każdy grający marzy sobie, że to on będzie jednym z tych piętnastu.

— „Gra pan?” — pytam dyrektora Jerzego Skotnickiego. „Nie mam czasu — powiada — ale żona gra systematycznie”. „No i co? Wygrała?” „Tak, kilka razy, raz to nawet około 300 złotych”.

Podobno są kombinacje liczbowe, w których można wygrać i więcej niż milion. Moja wyobraźnia finansowa kończy się jednak na milione, i to jest polecie całkiem abstrakcyjne. Nie eram w totka. Obliczam sobie teraz: 10 złotych tygodniowo. W ciągu roku 520 złotych, w ciągu 10 lat 5.200

W ciągu minionych 10 lat mieszkańcy Łodzi i województwa wpłacili do oddziału łódzkiego Totalizatora Sportowego 750 milionów złotych. Z tego połowa poszła na wygrane, 10 procent na utrzymanie administracji, około 200 milionów złotych otrzymała Łódź i województwo na budowę obiektów sportowych.

A oto niektóre główne sportowe inwestycje zrealizowane z funduszu Toto-lotka w okresie minionych 10 lat.	
Budowa hali sportowej w Łodzi	20 mln zł
„Start” na Julianowie	20 „ „
Tor Kolarski „Spółem” na ul. Północnej	7 „ „
Pawilon „Anilany”	5 „ „
Hala sportowa „Widzewa”	3 „ „
Kombinat sportowy „Lechii” w Tomaszowie	8 „ „
Stadion „Stal” w Kutnie	3 „ „
Pabianickie Tow. Cyklistów	3,5 „ „
Hala sportowa w Piotrkowie	4,5 „ „
Ośrodek sportów wodnych w Sieradzu	4 „ „
Na budowę przyszłolnych boisk sportowych w Łodzi i województwie	20 „ „
Dla LZS	około 15—20 „ „

Z powyższego zestawienia wynika, że część łódzkich wpłat na Toto-lotka, przeznaczona na inwestycje sportowe, nie wróciła do Łodzi. Opinia publiczna naszego miasta jest zaniepokojona tym niewytłumaczalnym faktem, tym bardziej, że chodzi o olbrzymią sumę około 137 milionów złotych oraz miasto, którego że warunki zdrowotne i brak obiektów sportowych są powszechnie znane.

nie pieniędzy w błoto? Ba, a ile wyrzucamy pieniędzy na wódkę? To przynajmniej na zdrowie nie szkodzi, no i inwestycje sportowe się buduje. Chętnych na brawurowe stawianie zakładów jest zresztą coraz mniej. Ponad 90 procent wpływów pochodzi z zakładów prostych, 10-złotowych.

W totka gra się zależnie od temperamentu, usposobienia, na totka są metody, są systemy, są całe szkoły. Jedni grają pojedynczo, w tajemnicy przed znajomymi, inni zespołowo: po kilkoro lub kilkanaścioro. Systemem naukowym, głęboko przemyślanym, lub na wyczucie i przypadek. Efekty są mniej więcej takie same — czasem się coś wygra, a przeważnie nie. Numery skreśliła się na prawdopodobieństwo, na datę urodzenia, ślubu, śmierci prababci, na liczbę żeberka w kaloryferze, na numer butów żony i kołnierzyka szwagra, albo też daje do skreślenia dziecku. Jedni zmieniają system co jakiś czas, inni stosują ten sam konsekwentnie przez wiele lat. Jedni i drudzy piszą potem do Totalizatora listy:

„To jest niesprawiedliwość, bo ja gram już od 10 lat i nigdy nie wygrałem więcej niż 70 zł. Wiece proszę, żebyście coś zrobili, żebym ja nareszcie wygrał chociaż parę tysięcy, bo inaczej to mi wstyd będzie pokazać się w domu. Żona to nawet nie wie, że ja jeszcze gram, bo mnie wyciemnia i oblicza ile by miała, żebym ja nie grał. Wiece nie zawstydzajcie totalizatora i mi pomóżcie”.

albo:
„Gram w toto-lotka od samego początku i jeszcze nie wygrałem, a teraz mi się rozżala powiększyła i potrzebuje mieszkanie. Wiece może mi pomóc jako stałemu klientowi, żebym przedzielił mieszkanie dostał, albo mi pożyczyc pieniądze, bo ja u was to już masę pieniędzy zostawiłem”.

Inaczej gra miasto, inaczej wieś. Miasto gra mocniej, wieś wstrzemięźliwiej. Wieszniacy najchętniej składają swoje kupony w mieście. Lepiej, żeby sąsiedzi nie wiedzieli. Jak się nie wygra to się będą śmiać, a jak się wygra, to nie muszą wiedzieć, nie im o to.

Wiele osób prosi, by w razie wygranej nie przysyłać zawiadomień do domu. To pewno przeciwko żonie. A swoją drogą sporo osób gra chyba z nawyku, nie wierząc w efekty. Bo ponad 10 procent wygranych dyrekcja wysyła pocztą, bo grający nie zgłaszają się wcale. Czasem nawet po sumy dochodzące do kilkunastu tysięcy złotych.

Totalizator przeżywa swoje wahania sezonowe. W okresie robót w polu wieś zapomina o totkowej namietności. Rolnicy zabierają się do pracy i nie w głowie im wykreślanie numerków na kuponach. Ziemia to jest pewność — więcej dasz, więcej dostaniesz. W mieście w okresie wakacyjnym też przygasa zapal do gry. Wycieczka na Hawaje chwilowo odpada, na urlop w gó-

złotych. Wcale znowu nie tak mało. Tylko gdzie ja mam te pieniądze?

Totalizator sportowy ma ze sportem tyle wspólnego, że administracyjnie znalazł się w pionie Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i że część kwot z gry przeznaczona jest na budowę inwestycji i urządzeń sportowych. Ściśle mówiąc 50 procent wpływów idzie na wygrane, 50 procent — na budownictwo sportowe. Tę część przejmują GKKF z wszystkich oddziałów krajowych i podział sum dla poszczególnych województw dokonany jest centralnie. Czy to dla nas dobrze czy źle? Chyba nie najlepiej. W ciągu 10 lat (Totalizator w ubiegłym roku obchodził 10-lecie istnienia) do oddziału łódzkiego wpłynęło 750 milionów złotych. Z tego połowa poszła na wygrane, 10 procent przeznaczona się na utrzymanie administracji. Czyli pozostało 337.500.000 złotych. W tym czasie Łódź i Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej otrzymały na potrzeby sportowe Łodzi i województwa około 200 milionów złotych. Sumy dla miasta i województwa dzielone są mniej więcej po połowiu, pewnie różnice niewielkie zresztą wynikają z energii i przedsiębiorczości obu prezesów.

W miarę powstawania nowych obiektów coraz większe sumy idą na ich konserwację. Dziś już około 50 proc. uzyskiwanych sum przeznaczają się na utrzymanie i konserwację urządzonych czy zbudowanych obiektów. Ich lista jest istotnie spora, błędnie jednak wobec listy potrzeb. Wielkie, prawie 750-tysięczne miasto cierpi na brak letnich ośrodków wodnych, obiektów sportowych w dostatecznej ilości. Jeszcze gorzej sprawa ta wygląda w województwie. Jeśli na przykład z dumą mówi się o kombinacie sportowym „Lechii” w Tomaszowie to trzeba też powiedzieć, że rozwijające się stale przemysłowe miasto nie ma żadnego innego obiektu sportowego oprócz „Lechii”, że młodzież robotnicza nie ma możliwości uprawiania sportu z braku boisk i odpowiednich miejsc do ćwiczeń. Podobnie jest w wielu innych miastach województwa. Nie mówiąc już o miejscowościach mniejszych, LZS, szkołach itd.

LKKF walczy nieustannie o wydobycie większych sum na potrzeby sportowe Łodzi i województwa, ale na ogół nie jest to wcale zwycięska. 137 milionów złotych, których brak w rozrachunku łódzkiego Toto-lotka z GKKF na przestrzeni 10 lat to suma niebagatelna, to więcej niż jedna trzecia tego wszystkiego co otrzymaliśmy.

Nie wiem czy łodzianie stawiający kryzyki na kuponach Toto-lotka zastanawiają się nad tym, że połowa tego co włada podzie na rozwój sportu. Gdyby się jednak zastanowili z pewnością chcieliby, żeby to był rozwój sportu w ich mieście.

Od ODRY 1003 do ZAM-41

Dalszy ciąg ze str. 1

stepnie precyzują jego poszczególne zagadnienia, które mają być poddane opracowaniu w ODRZE 1003. Teraz następuje końcowy etap, wienający dzieło tych wstępnych zabiegów, operacja najbardziej skomplikowana — sformułowanie programu. Mówiąc lapidarnie, zawiera on szereg poleceń dla maszyny, które ma ona wykonać. Program jest więc ostatecznym kształtem specjalnego surowca, strawnego dla EMC. Gdy już program jest zapisany na ostatni guzik — niech mi ZETO wybaczy takie określenie — podejmuje pracę elektroniczne urządzenie zwane dziurkarka. Ona to dokonuje „przekładu” programu — odpowiednio perforując papierową taśmę — na język matematyczny, zrozumiały dla EMC i, przez urządzenie wejściowe, przekazuje ją wprost do niezawodnych „rak” ODRY 1003.

No, cóż, teraz homo sapiens siada wygodnie w fotelu, zapala papierosa i spokojnie czeka na wyniki swej krzątani, gdyż resztę pracy wykona już za niego maszyna. Otóż to. Ilekroć patrzę na maszyny zawsze ponosi mnie fantazja. Fotel i papieros — to oczywiście gruba przesada, gdyż homo sapiens wcale nie ma czasu, jako że czeka już na następnego klienta ZETO. Oby miał ich coraz więcej!

Ten zapis czynności przygotowawczych z programem włącznie, dokonany jednym tchem, mógłby nasuwać przypuszczenie, iż wszystko od bywa się tutaj błyskawicznie szybko. Otóż, i tak, i nie, i jeszcze raz — tak. Tak — bo poszczególne elementy obliczeń wykonuje maszyna niesłychanie szybko. Całość — trochę dłużej. Ale w sumie — błyskawicznie szybko. Nie — bo sformułowanie programu następuje kolosalnie trudności, jest operacją wielostopniową, żmudną, skomplikowaną, precyzyjną, pracochłonną i wymaga czasu. Na przykład opracowanie wykinkowego programu, w zależności od wagi zagadnień zawartych w zleceniu klienta, trwa w granicach od dwóch do pięciu miesięcy. I wreszcie jeszcze raz — tak, gdyż w sumie, te same obliczenia, z programem włącznie, które w ZETO trwa łyby plus minusz cztery miesiące, wykonane metodą tradycyjną, więc przy pomocy arytometrów elektrycznych, musiałoby trwać około... dwóch lat! Przy tym EMC nie popiełnia błędów. A zatem i tempo obliczeń i bezbłądność stwarzają z elektronicznej maszyny cyfrowej na rzędzie pracy o kapitalnym znaczeniu.

2.

Od lipca ubiegłego roku do dnia dzisiejszego łódzki ZETO przyjął 45 zleceń od trzydziestu kilku łódzkich instytucji i zakładów pracy oraz Instytutu Ekonomiki i Organizacji w Warszawie. Między innymi: na zlecenie Biura Projektów Budownictwa Komunalnego wykonał ZETO skomplikowany program obliczeń spadku ciśnienia w obwodowej sieci wodociągowej m. Łodzi. Taki program, wykonany po raz pierwszy w Polsce, w tym zakresie i rozmiarach, wzbudził żywe zainteresowanie warszawskiego Biura Studiów i Projektów Budownictwa Komunalnego. Dla potrzeb Centralnego Laboratorium Przemysłu Odzieżowego wykonano badania optymalizacji w kroju tkanin w przemyśle odzieżowym. Już pierwsze wyniki tych obliczeń okazały się bardzo interesujące i zachęcały do programowania nowych koncepcji. Z usług ZETO skorzystały też wyższe łódzkie uczelnie — Politechnika Łódzka i Uniwersytet Łódzki. Łódzkie Zakłady Radiowe szukają najlepszych rozwiązań z zakresu technologicznej pracochłonności wyrobu i obciążenia maszyn, i ZETO podjął to prace. Za kład ETO świadczył również usługi Biuro Projektowania Zakładów Włókienniczych, Instytutowi Włókiennictwa, Biuro Projektów Przemysłu Papierniczego, Instytutowi Włókien Sztucznych i Syntetycznych. Dla MPK wykonano obliczenia planu kosztów wydziałów produkcji pomocniczej, a na zlecenie Zakładów Przemysłu Dziwiarskiego „Olimpia” ułożono program p.n. „Analiza aktualizacji produkcji i sprzedaży wyrobów”. Na podstawie tego programu dokonuje się dla zakładu obliczeń miesięcznych, a

raz na kwartał zestawień zbiorczych.

Już tych kilka przykładów wskazuje na nieograniczone możliwości elektronicznego przetwarzania danych. Elektroniczna maszyna cyfrowa wkrocza dziś do wszystkich dziedzin ludzkiego działania. Jednym zamachem obala tradycyjne metody matematycznych obliczeń, rozwiązuje skomplikowane problemy, odsłania nowe, szerokie horyzonty, inspiruje i pobudza twórczą inwencję człowieka.

Zresztą postuchajmy, co mówią o tym użytkownicy ZETO.

Mgr inż. Zdzisław Władysław, Generalny Projektant Wodociągów m. Łodzi:

— Istotnie, ZETO wykonał dla nas bardzo skomplikowany i interesujący program, przy czym uzyskanie takiej dokładności obliczeń metodą tradycyjną byłoby niezwykle trudne. Czy szybko? Fantastycznie szybko! W sumie około czterech miesięcy. Wykonanie tej samej pracy metodą tradycyjną trwałoby parę lat! Ale ponadto, rozwiązanie programu, przy zastosowaniu programów wycinkowych, mogą być wykorzystane do obliczeń strat ciśnienia w sieci wodociągowej w skali całego kraju. Nawet dla perspektywy roku dwutysięcznego!

Mgr Józef Skowroński, główny księgowy w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym:

— Wyniki uzyskane przy pomocy EMC w łódzkim Zakładzie ETO tak nas zachęciły, iż w MPK stworzyliśmy już własną stację obliczeniową. Na razie jest ona jeszcze in statu nascendi, niemniej formułujemy już własne programy dla potrzeb MPK. Obliczenia wykonuje dla nas ZETO i Politechnika Łódzka.

3.

ZETO w Łodzi eksploatuje jeden zestaw EMC ODRY 1003. Prezentacja jest tu konieczna, bo i jakże, choć przez chwilę, nie zachwyca się tym cudownym dziełem myśli i rak ludzkich. ODRY 1003 jest małą elektroniczną maszyną cyfrową, zaprojektowaną i wykonaną — w całości na krajowych elementach — we Wrocławskich Zakładach Elektronicznych „Elwro”. Składa się z czterech zasadniczych elementów: arytrometru, sterowania, pamięci oraz dwóch urządzeń — wprowadzania i wyprowadzania informacji. Pamięć maszyny jest obracająca się benen, pokryty warstwą ferromagnetyczną. W odległości dwudzieściu mikronów...

„Proszę pomyśleć, co za precyzją: dwadzieścia mikronów, jedna pięćdziesiąta część milimetra! I to się nazywa „odległość”. Techniczna miniaturyzacja nie znalazła jeszcze swego języka.

„Wiece w odległości dwudzieściu mikronów od powierzchni bębna są umieszczone głowice zapisujące i odczytujące informacje. Fizyczna za sada zapisu i odczytu jest podobna do zasad działania magnetofonu.

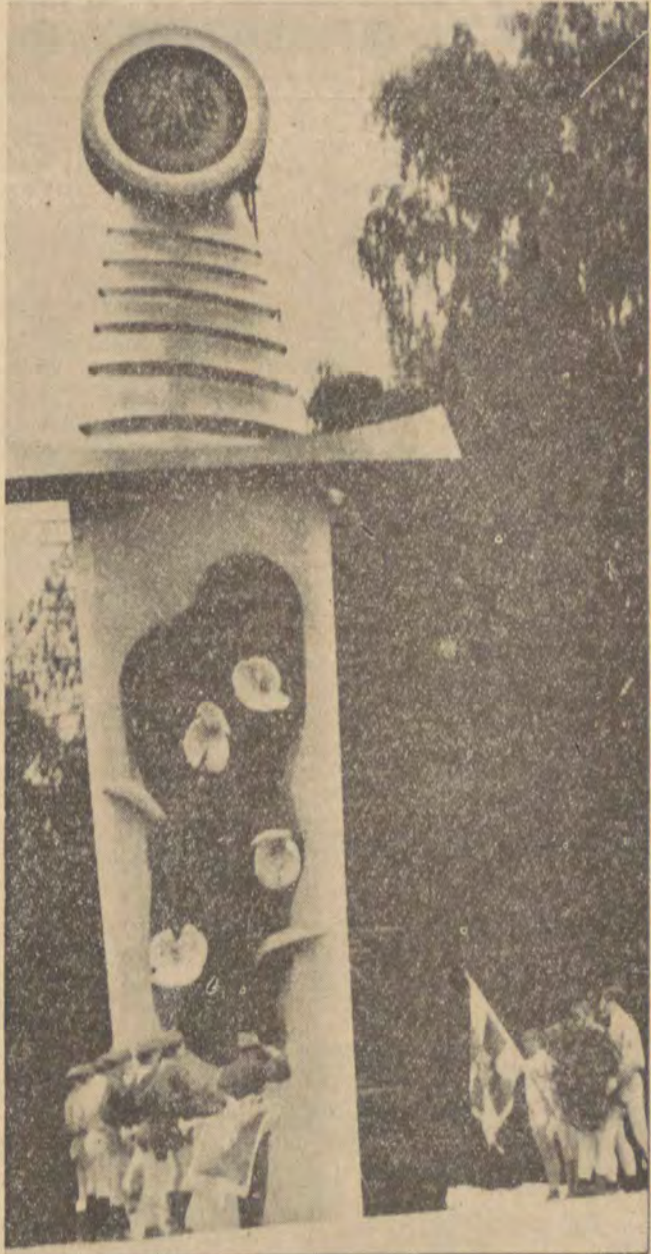
ODRY 1003 przechowuje w pamięci 63897 cyfr lub znaków literowych. Polecenia i dane do obliczeń wprowadza się do niej przez urządzenie wejściowe — czytelnik fototelegraficzny, odczytujący 300 znaków na sekundę. ODRY 1003 dodaje 1400 liczb w przelocie jednej sekundy, mnoży 220. Podam dla przykładu, iż liczba 986743289 podnosi do trzeciej potęgi w czasie około jednej setnej sekundy. I błędnie nie popielni!

„Jednej setnej sekundy! Jaka efektywna prace potrafi wykonać człowiek w czasie jednej setnej sekundy? Żadnej! Właśnie. I dlatego tworzy mechanizmy, działające szybciej od niego, żeby mu służyły. Cała rzecz ujmując szerzej: u nas EMC zostają wręcznięte do działań konstruktywnych, spełniając rolę służebną wobec całego społeczeństwa.

4.

Łaikowi patrzącemu z zewnątrz mogłoby się wydać, że maszyna myśli. Oczywiście, że nie. Nie myśli i nigdy myśleć nie będzie. Elektroniczna maszyna cyfrowa jest po prostu programowanym arytrometrem i to jest jedna z jej zalet. Wszakże najważniejszym przymiotem EMC jest możliwość wielokrotnego wykorzystania raz zrealizowanego programu. Dzięki wbudowanemu automatycznemu układowi do wykrywania błędów oraz możliwości układowi programów wykrywających ewentualne uszkodzenia maszyn, jak również wykonywania obliczeń kontrolnych w czasie pracy, wyprodukowana niezawodność obliczeń EMC doprowadzono do maksimum. I jeszcze jeden ważny przymiot: w trakcie pracy EMC pokazuje cały proces rozwiązywania problemu i formułuje materiały do wyboru najlepszej koncepcji.

„Ale... Ale maszyny są produktem ludzkiego geniuszu. O wszystkim decyduje człowiek — maszyna służy mu pomocą, aby decyzje były szybkie, skuteczne. Miara cywilizacyjnego poziomu współczesnego społeczeństwa jest stonien jego zaangażowania w dziedzinie techniki, powszechne odczucie potrzeby wykorzystywania jej w najróżniejszych dziedzinach ludzkiej pracy. Żeby ją ułatwić, usprawnić, żeby pracować lepiej, szybciej, wydajniej, z pożytkiem dla całego społeczeństwa. I jeśli już chylić czoła — to nie przed maszyną, nawet



BALLADA PARTYZANCKA — 1967

Fot. E. Kudań

elektroniczną, lecz przed twórczą myślą ludzką.

I dlatego powiem coś, czego mi nigdy nie wybaczą, ani ODRA 1003, ani wszystkie inne elektroniczne maszyny w całym świecie: mimo fenomenalnej pamięci, fantastycznej szybkości, mimo niesłychanej sprawności matematycznej tudzież wszelkich innych walorów, są one jednak tworem sztucznym, wyłącznie materialnym, martwym i beźmyślnym absolutnie. I jeszcze ponadto: brak im ludzkich uczuć i stanów emocjonalnych, co notabene, stwarza znakomitą okazję, by powiedzieć im to otwarcie i w poczuciu pełnej bezkarności.

5.

ODRA 1003, jak już wspomnianym, jest niewielką maszyną cyfrową. Jej urządzenia wejścia i wyjścia nie są przystosowane do przyjmowania wielkiego pocztu informacji do elektronicznego przetwarzania. Lecz na tym wstępnym etapie świadczenia usług, Zakład dopiero wprowadza użytkownika do korzystania z elektronicznej techniki obliczeniowej, przełamując uprzedzenia i opory. Jest to więc rola pioniera zarówno w sferze świadomości, jak i praktyki działania. Tej pozytywnej działalności Zakładu patronują łódzka instancja partyjna i władze miejskie, w pełni doceniając jego niezwykle ważną funkcję propagatora postępu technicznego i nowoczesnych metod pracy w naszym przemysłowym mieście.

Elektroniczna technika obliczeniowa zdobywa sobie w Łodzi coraz liczniejszych zwolenników. W perspektywie, gdy korzystanie z EMC stanie się tak oczywiste i powszechne, jak korzystanie z arytmetru elektrycznego, przedsiębiorstwa czy fabryki zechcą stworzyć własne stacje e.t.o.), jeśli będzie to oczywiście celowe z punktu widzenia opłacalności — wykorzystania czasu eksploatacji maszyny.

Wykonanie owych czterdziestu pięciu poważnych i bardzo skomplikowanych programów z różnych dziedzin naszej gospodarki, i to w przeciągu niespełna roku, jest na pewno dużym osiągnięciem tej instytucji. Proces świadomego akceptowania nowych metod pracy przy użyciu EMC przebiega bardzo szybko. Wśród wszystkich użytkowników ZETO panuje przekonanie, iż nie

tylko tradycyjne metody obliczeń, lecz również tradycyjne metody do tychczasowej pracy koncepcyjnej są już przestarzałe, niewystarczające, zbyt powolne i mało dokładne. Ze elektroniczne przetwarzanie danych stwarza całkiem nowe możliwości. Te powszechne opinie wywodzą się już ze sfery świadomości i należy je odnotować jako fakty wielkiej wagi. Naturalnie, wszystko to odbywa się jeszcze w niewielkiej skali. Wszakże wpływają do ZETO wciąż nowe zamówienia, z EMC stykają się wciąż nowi ludzie i oni z kolei stają się nosicielami i agitatorami tej nowoczesnej metody pracy. Wspomnę w tym miejscu, iż stacje sekcji programowania powstały już w łódzkim oddziale GUS, na łódzkiej kolei, w Anilanie, w ZPB im. Marchlewskiego, w Biurze Projektów Przemysłu Papierniczego, w MPK i w jeszcze innych instytucjach i zakładach pracy. Są to z kolei realne zjawiska narodzin nowego, a nie jakiegoś tam pochwalnego fałszerki pod adresem ZETO.

Łódzki Zakład Elektronicznej Techniki Obliczeniowej z jednej strony świadczy usługi, a z drugiej przygotowuje teoretycznie i praktycznie do wyższego etapu korzystania z jego usług. A ten wyższy stopień wta jemniczenia? To już szersze zamierzenie, nader atrakcyjne i wiele obiecujące. Stwarza ono możliwość sformułowania kompleksowych programów dla całego przedsiębiorstwa, a stąd już start do wysokiego lotu — do metody zintegrowanego systemu elektronicznego przetwarzania danych dla celów zarządzania przedsiębiorstwem.

6.

Zakres wykorzystania elektronicznej techniki obliczeniowej jest bardzo szeroki i, praktycznie rzecz biorąc, nie ma takiej dziedziny ludzkiej pracy, w której nie dałoby się jej zastosować. Wiele w planowaniu gospodarczym, w sprawozdawczości, bilansach ekonomicznych, organizacji produkcji, zaopatrzeniu materialnym, obrocie towarowym, operacjach finansowych, księgowości, zatrudnieniu, płacach, pracach organizacyjnych, technicznych, projektach inwestycyjnych, komunikacji, transporcie, handlu, statystyce, nauce itp. itp.

Wyniki opracowane przez EMC pozwolą na optymalizację ekonomicznych decyzji, na szybki i najko-

rzystniejszy wybór planowanych koncepcji i przedsięwzięć wszelkiego rodzaju i we wszystkich dziedzinach gospodarki, na zwiększenie operatywności rynku i w sumie — na doskonałe nasze modely gospodarcze.

Są to wszystkie stwierdzenia jak najbardziej ogólne, gdyż zagłębić się w szczegóły zastosowań elektronicznego przetwarzania danych i korzystać stad płynących oznaczałoby napisać grubą księgę. A to ma być artykuł. Więc tylko jeszcze jedno: w ostatnich latach zrobiliśmy ogromne postępy w konstrukcji własnych elektronicznych maszyn cyfrowych. Świadcza o tym nasze najnowsze osiągnięcia w konstrukcji takich EMC, jak ODRA 1204, czy ZAM-41. Oczywiście nie jest to ostatnie słowo polskiej myśli technicznej — pójdziemy dalej. Na razie nie mamy jeszcze wystarczającej ilości EMC, ale przecież zaległości w tej dziedzinie nie szybko odrabiamy, podobnie jak odrabiliśmy już tyle innych. Nie ulega wątpliwości, iż z każdym rokiem stajemy się coraz bardziej zasobni w elektroniczne maszyny cyfrowe, o czym świadczy choćby fakt, że ZETO mają w zasadzie wszystkie miasta wojewódzkie. Nie mówiąc o różnych instytucjach w kraju, które eksploatują własne maszyny elektroniczne. Wszakże wraz z dynamicznym i wielokierunkowym rozwojem naszego kraju, szybko wzrasta zapotrzebowanie na EMC i tym wymaganiom należy sprostać. To oczywiście wcale nie bagatelka, ale bez elektronicznej techniki ani rusz we współczesnym świecie.

7.

Na zakończenie dwa pytania do dyrektora ZETO, mgr inż. Zygmunta Euczaka:

— Czy ODRA 1003 w łódzkim ZETO jest należycie wykorzystana? — Tak. Więcej, niż maksymalnie.

— A plany na najbliższą przyszłość?

— Szerokie. Zainstalowanie w ZETO elektronicznej maszyny cyfrowej do przetwarzania danych i konsekwentne dążenie do stworzenia systemu automatycznego zarządzania. Dzisiejsza technika stwarza do tego realne przesłanki i zapewni nam wykonanie zamierzenia.

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

e.t.o. — elektroniczna technika obliczeniowa.

JAN SZCZEPAŃSKI

Nowa książka o Łodzi

Praca dr Wacława Piotrowskiego, będąca naukowym opisem charakterystycznych dla Łodzi i jej mieszkańców cech struktury społeczno-przestrzennej, zawiera odbicie tych procesów i zmian, które wynikały ze skutków żywiołowych i nieplanowanych zjawisk typowych dla kapitalistycznej industrializacji jak i tych, które znamionują zarysujący się kontur nowej Łodzi, powstającej w warunkach, gdzie urbanistyka ma na celu dobro wszystkich mieszkańców miasta).

Socjologiczny opis miasta posiada już długotrwałą tradycję. Najbardziej rozwiniętym i znanym nurtem badań nad miastem w socjologii jest tzw. „Chicagoowska szkoła ekologiczna”, której założycielami byli R. E. Park i E. W. Burgess.

Autor „Społeczno-przestrzennej struktury miasta Łodzi”, założenia swojej pracy opiera także na niektórych, typowych dla szkoły ekologicznej ustaleniach, toteż przed bliższym omówieniem pracy należałoby może przedstawić niektóre założenia teoretyczne tego kierunku analizy miasta. Jako odrębna dyscyplina socjologii wyodrębniła się ona w latach dwudziestych na gruncie amerykańskim i koncentrowała się przede wszystkim na analizie przestrzennego występowania i zróżnicowania w nasłoniu niektórych zjawisk życia miejskiego.

Orientacja ta wykazywała silne związki z naukami biologicznymi — ekologią roślin i zwierząt, skąd zostały zaczerpnięte za równo podstawowe terminy jak i podstawowe twierdzenia tej szkoły.

Zasługi szkoły ekologicznej polegają na znalezieniu narzędzi analizy i sposobów opisu zjawisk społecznych w kategoriach, które mogą być wykorzystywane nie tylko przez socjologów.

W świetle powyższego jest rzeczą oczywistą, że w warunkach kiedy procesy społeczne wchodzą w zakres planowej polityki, kiedy miasto i jego rozwój podlegają oddziaływaniu racjonalnej wizji architekta, nie można mówić o celowości stosowania założeń teoretycznych klasycznej szkoły ekologicznej do badań nad miastem.

Tym większa wydaje się być zasługa autora omawianej pracy, który inspirowany przez szkołę ekologiczną, wykorzystał w swoim studium koncepcję „obszaru naturalnego”, przystosował ją do badania i wzbogacił w taki sposób, że pozwoliło to na analizę pewnych zachowań społecznych, które umykały badaczom klasycznej szkoły ekologicznej.

Na podstawie badania opinii mieszkańców miasta, autor wyodrębnił pewne obszary, które w świadomości ich mieszkańców uważane są za „swoją” dzielnicę. Prócz informacji mieszkańców o terenie, który wchodzi w zakres lokalnej dzielnicy, wykorzystano także w badaniu pewne cechy fizyczne terenu takie jak charakter zabudowy, naturalne granice między dzielnicami i szereg innych. Obszarowi wyróżnionemu na podstawie tych wszystkich kryteriów, będącemu wyjątkowo różnym, cech i zjawisk autor nadał nazwę dzielnicy podstawowej.

W trakcie badań W. Piotrowski uzyskał aż 60 nazw obiegowych dzielnic funkcjonujących w świadomości ich mieszkańców, z czego wyodrębnił 23 dzielnice podstawowe. Mimo, iż zasadniczym kryterium wyodrębnienia obszarów wchodzących w skład dzielnic podstawowych była subiektywna opinia mieszkańców, okazało się, że wyróżnione w ten sposób obszary różnią się między sobą nasileniem występowania pewnych zachowań społecznych ich mieszkańców a także pewnymi cechami obiektywnymi.

Czynnikami szczególnie różnicującymi były wskaźniki zachowań społecznych (chuligaństwo, przebieżność i pewnych chorób takich jak gruźlica, choroby weneryczne i przypadki chorób nowotworowych). Analiza przestrzenna rozmieszczenia dzielnic podstawowych i ich cech charakterystycznych wypełniona przez autora obserwacjami zachowania mieszkańców przy zaspokajaniu niektórych potrzeb życiowych pozwoliła wyodrębnić na obszarze dzielnic ośrodki skupiające życie społeczności lokalnych, będące w pewnym sensie centrami życia mieszkańców danego obszaru („swoje” sklepy, kioski, apteki, kina itp.).

Autor próbuje tak wyróżnione obszary dzielnic podstawowych ułożyć w strefy przestrzenne dzielące obszar miasta na okręgi charakteryzujące się podobnym nasileniem występowania zjawisk i procesów społecznych. Obok wy-

żej wymienionych cech uwzględnił jeszcze gęstość zaludnienia, strukturę społeczno-zawodową mieszkańców, ich ruchliwość oraz lokalizację niektórych instytucji i wiedzę o rozwoju terytorialnym miasta.

Wskaźniki te w założeniach szkoły ekologicznej stanowiące podstawę wyróżniania „obszarów naturalnych”, w pracy dr W. Piotrowskiego stanowią element dodatkowy charakterystyki obszarów uprzednio już wyróżnionych. Mimo to rozrzut tych wskaźników różnicuje wyodrębnione dzielnice podstawowe i pozwala, choć w ograniczonym zakresie, na wyodrębnienie stref w społeczno-przestrzennej strukturze Łodzi.

Mimo iż, jak stwierdza autor, ogólny układ i charakter struktury społeczno-przestrzennej miasta ukształtowany został jednokierunkowo, przemysłowym rozwojem miasta kapitalistycznego, to daje się zauważyć, poza sygnalizowanymi na wstępie procesami zachodzącymi na terenie Łodzi tuż po wyzwoleniu, wpływ kierowanych procesów migracyjnych budownicwa okresu obecnego. Wyodrębnia się to najwyraźniej przy „dekomercyjnych” funkcjach nowych osiedli mieszkaniowych w stosunku do inteligencji i tradycyjnych skupisk tej kategorii społeczno-zawodowej (Śródmieście). Innym skutkiem tych zjawisk jest tworzenie się nowych społeczności i nowych więzi na obszarach objętych budownictwem, i stosunkowo niska — w tym okresie integracja społeczności zamieszkującej te obszary.

Mimo procesów zmieniających oblicze i strukturę społeczną dzielnic, miasto posiada tradycyjne enklawy o dużym nasileniu patologicznym zjawisk życia społecznego. Dzielnica podstawowa Staromiejska jest tego najlepszym dowodem. Wyniki badań upoważniają autora do stwierdzenia zależności między wyróżnieniem podobszarów przestępczych a stopniem nasycenia tych podobszarów przez ludność napływową. Brak kontroli środowiska społecznego, sąsiedztwa, społeczności lokalnej, powoduje większą podatność na uleganie złym wzorom zachowań i jest przyczyną zachowań społecznych. Staromiejska jest właśnie dzielnicą, która obok Polesia, Bałut i Śródmieścia posiadała w okresie badań najniższy odsetek ludności miejscowej tzn. wg. założeń autora mieszkającej przed ślubem na terenie dzielnicy (miasta).

Dosyć wyraźnie daje się zauważyć w pracy W. Piotrowskiego, wpływ ruchów ludności w okresie powojennym na życie społeczne mieszkańców poszczególnych dzielnic. Otóż dzielnice sąsiadujące bezpośrednio ze Śródmieściem, wykazują wyraźny spadek kontaktów towarzyskich na terenie dzielnicy przy czym spadek kontaktów „wewnętrznych” jest wzrostem proporcjonalny do stopnia nasilenia migracji ludności na tym terenie. Dzielnice nie graniczące ze Śródmieściem charakteryzują się wzrostem wewnętrznych kontaktów towarzyskich. Wyjątek stanowią tutaj, Śródmieście, która to dzielnica, mimo wysokiego wskaźnika ludności napływowej (powyżej 45 proc.) posiada także najwyższy wskaźnik „wewnętrznych” kontaktów.

Z innych danych zawartych w pracy wynika, że Śródmieście jest samowystarczalną i pod innymi względami, spełniającą rolę ogólnego miejskiego centrum życia kulturalnego, City handlowego itp.

Prezentując omawianą pracę nie sposób pominąć jej dużej części, jaką wydają doniosłości praktycznej. Praktycznym strona tego typu studiów socjologicznych nad miastem jest właśnie z punktu widzenia plany dotyczące perspektyw rozwoju Łodzi. Dla współczesnej urbanistyki miasto jako problem socjologiczny jest tak samo ważny jak problemy techniczne, ekonomiczne i estetyczne. Pouczające są w tym zakresie znajdujące swoje odbicie w pracy, kolejne próby podziału obszaru miasta na dzielnice administracyjne, z których dopiero ostatnia w niewielkim stopniu narusza „naturalne” w odczuciu mieszkańców, podziały.

Książka W. Piotrowskiego jest więc oryginalnym i cennym wkładem w badania prawidłowości rozwoju wielkiego miasta przemysłowego w okresie tworzenia planowej gospodarki socjalistycznej i stanowi ważną pozycję w literaturze o współczesnej Łodzi.

W. Piotrowski — Społeczno-przestrzenna struktura miasta Łodzi. Wrocław — Warszawa — Kraków, Zakł. Nar. im. Ossolińskich 1966 r.

Daniela Waloszczyk

W milczeniu

wnieś się w dom zwyczajnie
przywitały cię ściany milczenia
na stole leżał papier bez ust
nie potrafił krzyknąć NIE
napisałeś więc na nim cierpienie

i było tak jak zawsze
belki na głowę nie spadły
zegar się nie zatrzymał

a potem był tylko papier
mogłam z nim robić co chciałam

pałam
dariałam
wyrzucałam,
był ciągle
i był wszędzie
w wodzie w chlebie
niepokonany

dopiero gdy go zjadłam
szafie odrosły znów skrzydła
i każde słowo było dwuimienne

Grażyna Ślusarek

* * *

ja zawsze ziemię
drażę i drażę
pod wiatr ustawiam
— i śpiewa

Benedykt Krystek

Odwiedziny

Przyjechałem tu z pamięcią
młodości, wojny i szkoły.

Obchodząc własne ślady
drzewa musiałem w niej wyrąbać
po jednej stronie
wzdłuż całej grobli

rozebrać spichlerz
i cegły umurować
w budynek gimnazjum

obcych ludzi wprowadzić
do swego mieszkania
pod dach podciągnąć winogrono

psa wypuścić z pamięci

utrącić topolę
i most zasypać
co od spodu wyglądał
jak stara podeszwa
nabita kolkami

a wieczorem

wieczorem musiałem
od gwiazd oderwać Żydów
przyczepionych łańcuchami...

Z. XII. 1961 r.

JAN ONOPA

SZCZĘŚLIWI, którzy są uwikłani

Każdy człowiek swoją „obecnosc” stara się wesprzeć czymś poświęconym, uznanym. To zupełnie zrozumiałe. W naszym natomiast kraju, tym poświęconym i uznanym jest od pradziejów — fizyczna obecność w latach przełomowych, gdy się dramata rozgrywa „w niebie, na ziemi i na każdym miejscu”. To są te atuty, w powszechnym rozumieniu, które po pierwsze — wzbogacają biografie człowieka, a po wtóre — wyróżniają go z masy „nijakich”, i wreszcie po trzecie — jeśli komu dobra bozia dała odrobinę chociaż talentu i chociaż trochę chęci na przystanie w służbę u Muz — wyniesienie go na ołtarze staje się prawie

pewne. Słowem, bohaterski życiorys z niebanalnych lat i dobra karta uczestnictwa w czasie, w przypadku twórcy, to już realna szansa wejścia na świecznik i na listę nieśmiertelnych.

Bo proszę. Wystarczy opowiedzieć swoje dzieje... jak szło, najlepiej z delikatnym retuszem i już spełniony obywatelski i ludzki obowiązek. Dokumentalnej beletryzujący byli i są w cenie, z braku chyba rzetelnych opracowań źródłowych. To nie jest rzecz do żartów, i ja w to wierzę, że naoczni świadkowie i twórcy wielkich przełomów dużo przeżyli, niektórzy wiele dokonali, czyli spełnili ludzki i obywatelski obowiązek. Wierzę też i w to, że ludzie lubią swoje przeżycia wspominać, o swoich dokonaniach opowiadać, co jest nawet ludzkim i obywatelskim obowiązkiem, by ku przestrodze i nauce w codziennej dydaktyce świadczyć żywym, autentycznym przykładem.

Istnieje jednak pewne zagrożenie: obywatelski temat nie może stać się przedmiotem w interesie czysto osobistym,

wspieraniem prestiżowym. Jeśli tak się stanie, szlak trafiła autentyczne przykłady w dydaktyce codziennej i ich wartość ludzka i obywatelska. Na taką okoliczność i oko łzawi, i mózg chwiała się. To pewne. A słyszy się ciągiem: a cóż ty dzieciaku masz do powiedzenia, jeśli ty w ogóle nie masz życiorysu. Wśród słabszych rodzi się kompleks, ale mocniejsi i odważniejsi powiadają wręcz: panowie, to chwyt poniżej pasa, to nie przyzwyczajony szantaż. Takie kryterium jest megalomania. Oddzielmy jednak, w tym salonowcu, wartościowe elementy od dramatycznej legendy; życiowa, obywatelska konieczność od „nadzwyczajności” — to nam wiele wyjaśni i rozstrzygnie. Powiedzmy sobie uczciwie: wojna, walka o chleb powszedni, o sprawiedliwy ład, o szacunek i godność człowieka jakże często jest koniecznością, a więc obowiązkiem w jego żywotnych interesach życiowych. Wojna i wszelkie chwile burzliwe niszczy i tworzy człowieka w takim samym stosunku. Nie do obalenia jest przecież fakt, że nie każdy bohater po zakończonej walce potrafił tak samo być ważny i potrzebny w zmienionej sytuacji: po wygranej lub przegranej. Nie szybko wygasają wszelkie schorzenia, jakich się człowiek nabawił w latach wielkiego przełomu. A nadto, w czasach normalnych zdążył odczuć, że jednak w czasach brzemiennych jednostka przed stawia zupełnie inną wartość, ze względu i na masę, i na potencję fizyczną, która jest niekiedy cenniejsza niż tona trotylu.

Ale jest i tak. Człowiek z bogatym życiorysem poprzez własne przeżycia opowiada kawał prawdy o czasie przeszłym, w którym uczestniczył czynnie. Cokolwiek więc powie, wypowie autentyczną prawdę. Z tym, że jest mu o tyle łatwiej, iż syntezę lat bohaterskich dokonał kto inny, politycy, wybitni przywódcy, uczeni, wreszcie czas.

A ludzie bez wielkich życiorysów? Mają płakać, żałować, że nie mieli szczęścia żyć właśnie wtedy, kiedy tyle się działo, czy też powieścić autentyczne tematy, z autentycznych przeżyć, które znają z drugiej ręki. Chyba nie. I plac jest pusty, a żalność jeszcze gorsza, bo nie-ludzka.

Życie i człowiek — dzieje się zawsze. I każdy człowiek w swoim życiu na co dzień jest świadkiem ciekawych i epokowych wydarzeń; nigdzie nie jest powiedziane, że te wydarzenia, które powstawały przy huk armat, są ważniejsze. Odkąd człowiek zaczął tworzyć, wolniej lub szybciej — tworzy bez przerwy, w chwilach łagodnych i burzliwych. I on tworzy, i on się przetwarza. W czasie trwania jego epoki dzieje się dzieje i sprawy: łagodne i dramatyczne. I niezależnie od bodźców zawsze on wspina się w górę. Czasami upada, ale

wstaje, odpoczywa i idzie dalej... w czas i zdarzenia. W dramacie czasu i człowieka trzeba po pierwsze wyznawać się, trzeba dużego wysiłku intelektualnego przy analizie człowieka i życia, trzeba żmudnych poszukiwań, by odkryć te zasadnicze prawdy, ich pożywkę, mechanizm i całą złożoną strukturę każdego działania się. Trzeba przyznać, że jest to sztuka osobliwie trudna.

Tematów do opracowania artystycznego nie można znaleźć w roczniku statystycznym. Jest ich jednak bardzo dużo, starczy dla wszystkich, i przy ich wyborze nie może obowiązywać zasada bogatego życiorysu. Każdy temat, każdy twórca może brać bez kompleksów „wszystkie tematy” i zakuć je w piękny kształt artystyczny. I ostateczną miarą jest najlepiej pokazana rzecz, najbliższa „laboratoryjnej prawdy”, w wymiarze ludzkim. Twórczość artystyczna to dyscyplina trudna, specjalność wyjątkowo złożona i odpowiedzialna. Strach przed podjęciem samodzielnych trudów poszukiwania prawdy i najidealniejszego wyrazu dla niej rodzi kompleksy i głębokie wątpliwości, ale to kwestia poczucia siły i własnych możliwości. Brak natomiast bogatego życiorysu, który rzekomo jest wielkim niedostatkiem w działalności artystycznej, na pewno jest twierdzeniem bałamutnym. W działalności artystycznej nie da się obalić jednej prawdy zasadniczej; nie bogaty życiorys, nie bogate urojenia są gwarantem dobrej roboty artystycznej, gwarantem, o ile w ogóle o tym można twierdzić, jest raczej głęboka wiedza o życiu plus wewnętrzny dynamizm z bogatą domieszką talentu. Beżyciorysowy niepotrzebnie jednak zachodzą w głowę, jak omiąć ten brak, który byłby łatwiejszą „przepustką do historii”. Niech raczej o tym, że kogo historia wyniosła na afisz, niech się o tym zbytnio nie przechwala, bo on osobście tej historii nie tworzył, wpadł po prostu w gotowy już watek i tyle jego zasługi. To niezupełnie tak, lecz podobne rozumowanie nie jest pozbawione sensu.

I na zakończenie prowokacji. Człowiek najbardziej twórczy jest — nie w okopach, nie w partyzantce, nie na wiecu protestacyjnym i nie w przeróżnych uwikłaniach, w tych potrzebach jest zbyt jednokierunkowy, i tylko się broni i najwięcej traci — żyje; twórczy jest człowiek w czasach normalnych, bez świadomości zagrożenia biologicznego i intelektualnego. Czyli, w zdrowym ciele, zdrowy duch, w zdrowych czasach, zdrowi ludzie i życie zdrowsze.

Bez sztuki chorej na kompleksy, z których prócz pustego szloch nikt nie wynika ani na dziś, ani na jutro, może na żyć. Ba, nawet bezpiecznie.



KRYSTYNA KARDYNI-PELIKANOVA

O REYMONCIE nad Wełtawą



Literatura czeska, której odrodzenie po długim okresie zastoju przypadło na koniec XVIII i początek XIX wieku, rozwijała się w odmienny niż nasza

sposób. Jej droga ku nowoczesności wiodła poprzez ludowość. Zaczynało się to skromnie od zbierania pieśni ludowych, uznanych za skarbiec pamiętek narodowych, by poprzez twórczość poetów, takich jak choćby Celakovský czy Erben (u których mickiewiczowska koncepcja ludowości odegrała niebagatelną rolę), poprzez prozatorów — jak Nemešová, Světlá czy Jirásek — osiągnąć współczesną dojrzałość bohatera ludowego w dzielnym wojaku Szwajku Haska.

Nic dziwnego, że twórcy czescy, stawiający pierwiastek ludowy niereakcyjnie w centralnym punkcie swych zainteresowań artystycznych, i na literaturę polską patrzyli pod tym kątem właśnie. Dzieje narodu polskiego, których odbicie doszukiwali się w literaturze — obok głębokiego podziwu dla bohaterstwa polskich zrywów wyzwolenczych — nasuwały czeskim mistrzom słowa niejednokrotnie uwagi krytycz-

ne, zwłaszcza przy ocenie polskich sto sunków społecznych. Zdarzało się przy tym, że i na literaturę polską spoglądano przez pryzmat tychże panujących w Polsce stosunków. Tragiczna sytuacja chłopów polskiego, przepaść kulturalna dzieląca tę warstwę od szlachty, rzuciła cień na literaturę, w której wielu twórców czeskich widzieli produkt warstw uprzywilejowanych. Tak właśnie wyraził się o niej w latach czterdziestych ub. wieku, głośny publicysta i poeta Karol Havlíček-Borovský, wytykając jej brak bohatera ludowego, nazywając ją w publicystycznym ferworze „literaturą szlachty, dla szlachty pisaną”. Ze nie był to sąd wyjątkowy świadczą późniejsze podobne zarzuty stawiane literaturze polskiej przez innych pisarzy: A. Staska, K. V. Zapa, J. Holecká.

Zastrzeżenia wysuwane wobec literatury polskiej wypływały nie tylko z innej genealogii społecznej literatury i w ogóle inteligencji czeskiej. To prawda, że wywodziła się ona z ludu i związek swój z nim odczuwała bardzo silnie. Szlachta czeska bowiem — w przeciwieństwie do naszej zasilającej po spauperyzowaniu szeregi inteligencji — bądź wyginęła w czasie represji po bitwie pod Białą Górą, bądź rozproszyła się po świecie szukając azylu w państwach ościennych, bądź wreszcie wynarodowiła się,

Uporczywe odwoływanie się do ludu jednak miało swe głębsze przyczyny. Wynikało ono z programów literackich, ideowych, uznających wies, jej kulturę i twórczość za nosicielkę myśli narodowej i postępu państwowego. Tym właśnie poglądom zawdzięczać należy fakt, iż koniec XIX wieku stał się świadkiem rozwoju gatunku, który w literaturze czeskiej otrzymał nazwę „powieści i opowiadań wiejskiego”. Zainteresowania etnograficzne pisarzy, takich jak bracia Alois i Vilém Mrstik, Jan Herben, Gabriela Preissová owocowały publikacjami związanymi tematycznie ze wsią czeską i słowacką.

Studia nad ludem stały się jednym ze źródeł, skąd przeciekał realizm do literatury współczesnej. Studia etnograficzne i artystyczne ich odbicie w literaturze były wyrazem dążeń do podchwycenia wsi współczesnej, jej regionalnych odrębności, a zwłaszcza zmian i procesów w niej przebiegających. W ten sposób w literaturze czeskiej wezbrała potężna fala tematyki wiejskiej. Głównymi jej przedstawicielami stali się pisarze K. V. Rais, Tereza Nováková, Antal Stasek, Jozef Holeček. Życie wsi, w którym powiazane są w jeden bieg losy ludzi, zwierząt i roślin zamyka w swych opowiadaniach J. K. Stejhar.

Zarówno ogólne tendencje epoki jak i specyficzny kierunek zainteresowań literackich Czech przełomu XIX i XX wieku stwarzały sprzyjające warunki przyjęciu dzieł Reymonta w środowisku czeskim, zwłaszcza jego czoiowego utworu — „Chłopów”.

Reymont miał w Czechach wielu tłumaczy i właściciel całej jego twórczości została przyswojona czytelnikowi czeskiemu. Pierwszym utworem pisarza, który czytelnicy czescy poznali była „Ziemia oblecana”, wydana w Pradze w roku 1903 przez wydawcę dzieł Sienkiewicza — E. Beauforta.

Rok 1906 przyniósł tłumaczenie „Płci grzymki do Jasnej Góry”. Dalsze lata — dwukrotne przekłady opowiadań. W roku 1910 tłumacz berneński Karol Rypáček zwrócił się do Reymonta z prośbą o zezwolenie na tłumaczenie „Chłopów”. Zezwolenie to w tymże roku otrzymał. Drukiem jednakże powieść ukazała się dopiero w latach 1920-21. Potem ponownie tłumaczył „Chłopów” C. Sirovy w roku 1926. Po wojnie to samo tłumaczenie doczekało się drugiego wydania.

W latach 1925-29 utwory Reymonta — już wówczas laureata nagrody Nobla wydane zostały w serii, która od nazwiska tłumacza i wydawcy nosiła nazwę „Biblioteki Minarika”. Całość wydanych wówczas „Dzieł” objęła 16 tomów.

Krytycy i film francuski

Zrodzona na jakże odmienniej glebie, kultura francuska była zawsze, dla nas, Polaków, zjawiskiem fascynującym. Urzekająca nas swym racjonalizmem, finezją, swobodą i wyrafinowaniem intelektualnym, śmiałością myśli itd. Istnieje coś, co moglibyśmy nazwać ciągłością tradycji kulturalnej, nawiązującą się świadomością kulturalną. Owa świadomość jest we Francji szczególnie silna i ona to nadaje specyficzny ton przejawom życia kulturalnego i artystycznego słodkiej Francji.

Film francuski, bo właśnie on mnie w tej chwili interesuje, stanowi w tej materii znakomity przykład. Awangarda filmowa lat dwudziestych karmiła się sokami dadaizmu, surrealizmu, impresjonizmu, nowej rzetelności itd. Filmy lat trzydziestych, filmy Carné, Duviviera, Feydera porzmięwały echemi prozy Francis Carco, i Pierre Mac Orlana, poezji Baudelaira, Verlaina, i Mallarmego. Jean Renoir jest nieodrodnym dzieciem francuskiego naturalizmu tudzież swego wielkiego papy — malarza Augusta Renoira. Bardzo typową dla francuskiej mentalności, dla tradycji literackiej, teatralnej a nawet piosenkarskiej jest twórczość Rene Claira. Nazwiska można mnożyć. Film francuski hojnie czerpie ze skarbcza rodzimej kultury. Prawdę rzekłszy, ma też z czego czerpać.

Są pewne zjawiska w kinematografii francuskiej nie możliwe nawet do pomyslenia na innym gruncie. Takie filmy jak „Skandal w Clochemerle”, jak „Hiroshi ma, moja miłość”, jak „Viva Maria!”, jak urokliva i pełna przekornej mądrości twórczość De Broki. Dlatego też na mapie świata film francuski zajmuje pozycję wyjątkową, której nie potrafią narużyć nawet przejęciowe i krótkotrwałe momenty zastój lub kryzysu. Zawdzięczamy mu także rzecz bardzo cenną — stworzenie świadomości filmowej, poczucia ciągłości w tej tak młodej stosunkowo i kruchej kulturalnie sztuce. Świadomość owa poczęła się dzięki wysiłkom ludzi, którzy stali się twórcami i głównymi przedstawicielami tzw. „nowej fali”. Zapoczątkowali oni nową epokę w dziejach filmu.

Byli to ludzie młodzi (przeważnie), opętani kinem, pełni pasji. Całymi dniami wysiadali w paryskiej filmotece, pożerając setki starych i nowych filmów. Na ich podstawie stworzyli sobie własny pogląd na sztukę filmową i jej historię. Dokonali wyboru. Zaczęli traktować dzieło filmowe na wzór literackiego, jako swoisty sposób pisania, indywidualny sposób widzenia rzeczywistości, autorską wypowiedź, owoc jedności stylu. Obalili obowiązujące dotychczas kryteria. Ci młodzi (przeważnie!) byli krytykami. Ich bojowym organem stał się słynny dziś miesięcznik Cahiers du Cinema. Założone z początkiem lat pięćdziesiątych, Cahiers rozpoczęły konsekwentną, nie pozbawioną ekstrawaganckich wystąpień, zabawnych prowokacji, mistycyzującego patosu, kampanię o nowy kształt sztuki filmowej. Działalność Cahiers, właśnie z uwagi na owe prowokacyjne metody tudzież specjalną („kapliczkową”) żarogon, nader często ściągając na siebie gromy oburzenia oraz pełne moralnego zacietrzewienia inwektywy. Istotnie, masę było w tym wszystkim hecy. Ale w podobnych przypadkach liczą się rezultaty. A rezultaty okazały się wcale, wcale... Kto wie czy nie bardziej skuteczne dla rozwoju kina niż poczynania wielu czigodnych, dostojnych czasopism, poważnie i prestiżowo redagowanych.

Cahiers dokonały przełomu w krytyce. Wprowadziły świadomą stronniczość, zadziorność, nowy, niesybilany swobodny, nawet nonszalancki sposób pisania. Opublikowały na swych łamach mnóstwo bzdur i wiele rzeczy wybornych. Najcenniejszy był brak eklektyzmu i owego bezstronnego zachwywania się wszystkim co nosi etykietkę mody lub znane nazwisko. Ekipa redakcyjna stanowiła zespół o określonej orientacji i pismo orientacji tej było narzędziem i tubą. Styl Cahiers przyjął się w wielu krajach, wypierając periodyki starego typu, czasopisma-antologie rozmaitych poglądów, obojętne wobec sporu o istotę kina. Świadectwem tego takie chociażby pisma jak amerykańska Film Culture, włoskie Filmertica, Cinema 60, Cinema e Film.

Do ekipy Cahiers należeli: Godard, Truffaut, Kast, Rohmer, Doniol — Valcrose, Rivette i inni. Nazwiska te znane są dziś także i z racji ich działalności reżyserskiej. Tacy jak Godard lub Truffaut stali się gwiazdami pierwszej wielkości na światowym firmamencie kina. Fakt, że parali się również krytyką, miał moim zdaniem, decydujące znaczenie dla ich twórczości i dla kierunku jaki stworzyli, czyli nowej fali. Posiadali bowiem inny niż ich poprzednicy rodzaj przygotowania. Świetną znajomość setek filmów, świadomość efektu ekranowego tudzież możliwości wyrazowych filmu, wyczuwanie stylu, własną koncepcję kina, wreszcie. Dokonany przez nich wybór takiej a nie innej drogi był wyborem świadomym a nie kwestią przypadku. Sama istota, materia kina stała się przedmiotem ich zainteresowania. Stąd sięganie do najbardziej „czystych” tradycji filmu, stąd przekorne wykorzystywanie popularnych schematów, pastisze. We Francji tego typu postawa ma mocne zaplecze w literaturze, która lubuje się w podobnych igrasz

Kach. Stąd wreszcie skłonność do nadmiernego estetyzowania, a nawet formalizmu. I znów śladem reżyserów-krytyków francuskiej nowej fali poszli inni. Przyszły czas nowej zmiany w filmie. Pewne sprawy ujawnione przez ludzi spod znaku Cahiers du Cinema zostały powszechnie zaakceptowane. Cahiers narzucały kult wybranych przez siebie reżyserów. To one wyłansowały Bergmana, Antonioniego, Hitchcocka, Wellesa i innych. To one zwróciły uwagę na takich reżyserów jak Brooks, Hawks, Minelli i innych. Przypomniły Stroheima, Langa, Murnaua, Renoira i innych.

Kiedy mówi się o Cahiers to w domyśle oczywiście tkwi nazwisko André Bazina, który do roku 1958 kierował miesięcznikiem, który był przywódcą i ojcem duchowym całej grupy, apostołem nowego kina.

Bazin jest niewątpliwie najwybitniejszą indywidualnością, jaką krytyka filmowa do dziś dnia może się poszczycić.

Obdarzony genialną wprost intuicją posiadał nadto znakomity warsztat, podbudowę teoretyczną, precyzyjną metodę. Bazin miał w sobie żarliwość uczestnika krucjaty o nowe kino. Wiadomo, iż potrafił zażarcie walczyć o los filmów, które uważał za interesujące. Pogląd jego często upraszczano, a tym samym fałszowano. U nas, w Polsce też. Wielu krytyków próbowało go naśladować, ale z dość mizernymi rezultatami. Można bowiem przyswoić sobie jego zasady teoretyczne i wynikającą z nich metodę. Nie sposób jednak posiadać owej zadziwiającej intuicji, która pozwalała mu sięgać do istoty dzieła, dojrzeć w jednym filmie całą osobowość autora, jego przysiężną ewolucję. Wielu reżyserów: Varda, Bunuel, Welles przyznają, iż uwagi Bazina uświadomiły im siebie. Dzięki Sainte-Beuve krytyki filmowej.

Trudno przecenić rolę Bazina w kształtowaniu się losu dzisiejszego filmu. Wielu reżyserów i to bez przesady mogłoby powiedzieć: my wszyscy z niego. Jakże nieodżałowaną stratą dla każdego miłośnika filmu stanowi jego przedwczesna śmierć. Wywodził się z najlepszej francuskiej, kartezjańskiej szkoły myślenia. Błyskotliwie inteligentny, logiczny i klarowny w swoich wywodach, nad schematyzm przedkładał dialektykę. Miał w sobie też odrobinę irracjonalizmu, od której nie wolno jest żaden kartezjański umysł. Był czymś w rodzaju Sainte-Beuve krytyki filmowej.



Teofil Józwiak. Grafika

ZDZISŁAW KONICKI

W dyskusji nad łódzką widokówką

Pierwsza książka o Łodzi z „prawdziwymi widokami tego miasta” — to książka z lat 50-tych ubiegłego wieku — Oskara Flańca pt. „Opis miasta Łodzi”. Pomieszczono tam kilka dobrych zdjęć i litograficznych warszawskich rysowników. Dziś są już, dostępne tylko w bibliotekach naukowych, archiwach.

Pierwsze widokówki łódzkie — tzw. odkrytki, pocztówki — ukazują się w latach 1895—1900. Firmy wydawnicze Łodzi, Warszawy, a i zagraniczne, wydawnictwa prasowe, nioszący w świat albumy okazyjne, u-bileusowe. Z tworzonej tam rysunków i pierwszych fotografii łódzkiej — odbijane są luźne „widy Łodzi”. Wiele z nich zachowało się i do naszych czasów, nieraz przypadkowo, gdzieś na strychu, w starej komoście, czy w szufladzie lub połówkach albumie. Niedługo nie znajdziemy je i poza Łodzią, w starym Krakowie, Poznaniu czy nawet Ożorkowie. Te sprzed 1914 r. niełatwo się dziś zdobywa, wszak przetrwały już dwie wojny światowe. To prawdziwe widokówki-weteranki. Korzysta z nich prasa, film czy muzea, a także wydawnictwa ilustrowane. Takie widokówki są nieraz dokumentem historycznym, zwłaszcza gdy przedstawiony

fragment miasta już nie istnieje lub uległ gruntownej zmianie.

Przeszło 70 lat łódzkiej widokówki — to długi okres, tak w życiu miasta, jak i w działalności kilkunastu firm wydawniczych, prywatnych, które wypuszczały w świat swoje pocztówki.

Dziś mamy w zasadzie tylko dwu monopolistów — PP „Ruch” i PTT-K. Czy mają uzgodnioną w tym zagadnieniu politykę programową, czy działają na prawach konkurencji — nie wiemy. Chcąc nie chcąc — wydawnictwa te pracują dla propagandy naszego miasta i rozwoju jego kultury. Niestety, przez przeszło 20 lat — nigdy nie były poddane poważniejszej krytyce, cenzurze łódzkiej — nie chwalono, nie ganiono i zbyt nieśmiało stawiano im postulaty. Być może dlatego, że obie te instytucje mają swe Biura Wydawnicze poza Łodzią. A może i dlatego, że żadne stowarzyszenie kulturalne nie zajęło się tą sprawą poważnie.

Jak wygląda aktualny stan łódzkiej widokówki? Czy jej tematyka, dobór ujęć, atmosfera wielkiego miasta, tak łatwo dostrzegalna dla przybywającego tu obcego handlowca czy turysty — w pełni są słusznie pokazane i celowe?

W latach 1945—1967 — wydano ponad 300 tematów widokowych Łodzi. Nie zawsze jednak biura wydawnicze „Ruch” czy PTT-K zachowywały tu właściwą proporcję. Np. ujęć samego pomnika Kościuszki dołączymy się 22, gdy zabytkowego ratusza — 1. Nowych osiedli 150 tematów, a Biała Fabryka — Muzeum — 1. Widocznie ci co zatwierdzają tematy do druku — sami widokówek nie kolekcjonują i nie wiedzą, co i ile wydać?

Rzuca się w oczy brak ciekawych i niepowtarzalnych gdzie indziej widokówek wewnątrz, tak starych pałaców, fabryk, jak i z pałacu sportowego, bibliotek, nowych szkół...

Nasuwa się też uwaga, że właśnie przy doborze tematów i ich zatwierdzaniu winny decydować takie organizacje jak Tow. Przyjaciół Łodzi, PTT-K, Towarzystwo Historyczne, Fotograficzne, gdyż wiele tematów — to tematy przygodne, przypadkowe — nie oddające w pełni wiedzy o naszym mieście takiej, jaka my łódzianie, miłośnicy Łodzi chcielibyśmy przekazać. Właśnie na skromnej widokówce (DOTAD prawie JEDYNEJ ŁÓDZKIEJ PAMIATCE!). Wiele osób z zagranicy, chce to miasto poznać czy w celach handlowych czy turystycznych — widokówka czy FOLDER WIDOKÓWEK może im to ułatwić, coż kiedy go brak.

Apeluje tu do Dyrekcji Ruchu i PTT-K — o szersze niż dotąd konsultacje z przyjaciółmi Łodzi, o KONKURSY na najlepszą widokówkę Łodzi, o nowe śmiałe pomysły dla widokówki kolorowej. Cieszymy się z tego co mamy, ale patrzymy też i okiem krytycznym — tak, jakby i od nas mogło zależeć wydanie coraz to lepszych i ciekawszych zwykłych widokówek łódzkiej.

Twórczość Reymonta interpretowana była różnie, choć przyjęto ją z dużą dozą sympatii i aprobaty jako cenne uzupełnienie dotychczasowej literatury polskiej. W Reymontie bowiem dopatrywano się wejścia nowego żywiołu — demokratycznego — do literatury polskiej, „szlacheckiej” w sensie pochodzenia społecznego jej twórców. Autora „Chłopów” powitano więc jako „zwłastuna siły ziemi, jej twardego i jasnego prawa życia, piewę energii ludowej, piewę pluga...” (Jan Máchal).

Ale nie tylko w sensie socjologicznym jawił się Reymont Czechom jako nowość w literaturze polskiej. Współczesna sobie twórczość i niemal równoczesna śmierć Reymonta i Zeromskiego prowokowały do licznych zestawień twórczości obu pisarzy. U nas można wymienić tego typu prace wiele: Z. L. Zaleskiego, Kalenbacha, St. Papée, Małachowskiego-Lempieckiego i in.

Również i w Czechach dokonanie tego typu porównań nęciło wielu krytyków i historyków literatury. W twórczości obu pisarzy bowiem dostrzeżono dwa odmienne, lecz uzupełniające się bieguny. Przy czym Zeromski w ujęciu czeskim reprezentował indywidualizm, subiektywizm, i w ten sposób stanowił kontynuację tradycji dotychczasowej literatury polskiej, dia której oba wymienione pierwiastki

miały być wyróżnikiem wyodrębniającym ją z ogólnoeuropejskiego nurtu literackiego, podczas gdy Reymont utworami swymi wnosił zasadniczą odmienność, novum dotychczas w literaturze polskiej niespotykane: umiejętność obserwacji zbiorowości, umiejętność artystycznego jej przeniknięcia i opracowania, oddanie przeżyć duchowych kolektywu.

W taki sposób ocenili Reymonta, J. Máchal w swej „Historii literatury słowiańskiej”. To również ujęcie odnajdujemy w licznych publikacjach Franka Wollmana, profesora uniwersytetu bratysławskiego i berneńskiego, który nawet poświęcił temu zagadnieniu specjalne studium w r. 1926 pt. „Zeromski a Reymont”.

Zgodnie z ówczesnymi tendencjami badawczymi Wollman dał psychologiczną interpretację twórczości obu pisarzy. W utworach Zeromskiego i Reymonta dostrzegał klasyczny przykład „dualizmu słowiańskiego”, którego cechą miała być trwała antynomia między indywidualizmem a kolektywizmem. W twórczości obydwu pisarzy sprzeczność owa występowała, choć oba wymienione pierwiastki pojawiały się w różnym natężeniu. Twórczość Zeromskiego jest według Wollmana wyrazem zmagania z indywidualizmem, przy czym indywidualizm ów pogiębiony zo-

stał przez pisarza koncepcją ofiary osobistej na rzecz zbiorowości. Reymont natomiast uznał Wollman za „urodzonego kolektywistę”, w którego dziełach nie jednostka lecz zbiorowość jest przedmiotem zainteresowania artystycznego.

Jak zawsze, gdy mamy do czynienia z literaturą przez duże L i w ocenie Reymonta nie brakło sądów rozbieżnych.

W latach dwudziestych przyjmowano pisarza jako pojętnego ucznia Zola, podkreślano determinizm „Chłopów”, w których widzano odpowiednik „Ziem” francuskiego autora. Zaznaczano więc, że bohaterowie utworu Reymonta są produktem ziemi i środowiska, że psychika ich uzależniona jest całkowicie od przyrody, że są po prostu teł przyrody częścią. Tak pojął arcydzieło Reymonta J. Horák w swych studiach „Z dziej literatury słowiańskich”. Podobne ujęcie odnajdziemy u F. Wollmana.

Dostrzegany w „Chłopach” determinizm nie pozwalał Horákowi — przy całym uznaniu dla dzieła — obdarzyć je notą najwyższą. Determinizm biologiczny bowiem występujący np. w „Ziem”, był absolutnie nie do przyjęcia dla tych krajów słowiańskich, których charakter różnił i bardziej demokratyczna struktura społeczna narodu (brak warstw tzw. „wyższych”)

podnosiły prestiż wsi. Do takich narodów należał naród czeski, który przez ctd deterministycznej koncepcji wsi u Zola wysunął inną koncepcję przedstawiającą wieśniaka jako jądro organizmu narodowego w utworach takich jak „Nasi” J. Holeccka, czy „Jan Cimbur” Baara.

Nie było więc przypadkiem, że wytkniętému przez siebie determinizmowi „Chłopów” J. Horák przeciwstawił właśnie „Naszych” Holeccka, podkreślając, że temu ostatniemu, przy wszystkich niedostatkach kompozycyjnych („Nasi” to utwór składający się z dziesięciu tomów) lepiej udało się odnieść korzenie „dusz” ludowej swego kraju.

Inaczej spojrzal na „Chłopów” Karol Krejci, który (nie przecząc ich powiązaniem genetycznym z utworem francuskim) dostrzegł w nich jednak ostrze polemiczne skierowane przeciwko Zola. Reymont w ujęciu Krejciego przejął wprawdzie nieidealizowany, żywiołowy typ wieśniaka, ale oświecił go tak, że w wyniku otrzymał pozytyw. W reymontowskim zaś dążeniu do oddania przeżyć zbiorowości, do uczynienia bohaterem nie jednostki lecz kolektywu ujrzał Krejci, nie tylko rezultat predyspozycji psychicznych autora („Ziem obicanej”), czy odcienie jakichś trwałych sprzeczności charakteru i literatury słowiańskiej,

ale wynik oddziaływania nastrojów i wydarzeń rewolucyjnych schyłku XIX i początków XX wieku, które w tak skomplikowany sposób znalazły wyraz w twórczości polskiego pisarza.

Kolektywny bohater „Chłopów” jak i sposób ukazania go, czyniły powieść Reymonta bliską czytelnikowi czeskiemu. Może dlatego właśnie utwór ten znalazł w Czechach najwięcej wielbicieli. Wzrostowi popularności dzieła sprzyjał zapewne również fakt otrzymania nagrody Nobla. Świadczy o tym wydanie po roku 1924 wspomnianych już „Dzieł” pisarza w tłumaczeniu Minarika.

Szerzeniu znajomości utworów pisarza pomogły też uroczyste obchody w r. 1926 poświęcone pamięci Reymonta i Zeromskiego, nad którymi patronat mieli znani i wypróbowani przyjaciele Polski, pisarze: Elżbieta Krasnohorská, Alojzy Jirásek, Antal Stasek, Adolf Cerny. Wiele też dla popularyzacji literatury polskiej zrobiła działalność wymienianych już tutaj profesorów czeskich: Máchala, Horáka, Wollmana, a od lat trzydziestych twórczość naukowa K. Krejciego oraz prace i wystąpienia powołanego na katedrę Uniwersytetu Karola w Pradze polskiego uczonego — Mariana Szykowskiego.

KALISKIE SPOTKANIA TEATRALNE

Prawie każde miasto ma te wielkie a odświętne dni, podczas których żyje ponad stan codzienności. Poznań ma Targi, Gdynia i Szczecin „coletnia” inwazję szczerów lądowych, Zakopane „ceprów”, Kałowie „Barburke”, Kraków Lajkonika i Wawel, Łódź Szkołę i Studio Filmowe, Kolużki stację węzłową, a Kalisz Spotkania Teatralne.

Warszawa „świątuje” przez rok niemal cały, więc może i tęskni do „smaku niedzielnego ubrania”.

To niedzielne ubranie dodaje ważności i godności; w szarość dnia powszedniego wdaruł się powiew szerokiach mórz.

Przypomina mi się opowiadanie o skromnym i samotnym urzędniku, który od wielu lat każdy urlop spędzał na małym statku. Kapitan tego statku witał pana X z najwyższym szacunkiem i przyjacielską serdecznością. Pan X przed wyjazdem na urlop ulegał dziwnym przeistoczeniom, które niezmiennie wprowadzały jego kolegów a nawet przełożonych w stan zadziwienia i podziwu pokręconego nutką ironii. Pan X skromny urzędnik, w tym dniu przed wyjazdem stawał się panem Y. Anonimową osobistością wśród małej grupy przyjaciół spędzających, jak on, swoje wakacje na statku. Tu się poznali i tu, wśród utytułowanych naukowców przyjaciół, wakacyjna osobowość pana X. Y. świeciła pełnym blaskiem. Pan X w dniu przed wyjazdem zjawiał się w biurze w dorocznie odświętnym ubraniu. Po tylu latach metamorfoz trudno było dociec kim był naprawdę pan X. Y. — skromnym urzędnikiem czy wakacyjną osobistością. Po tylu latach wpatrywania się w człowieka trudno w ogóle dociec, gdzie jest jego osobowość, czy w tym kim jest, czy w tym kim usiłuje być?

Warunki narzucają postawy, postawy zmieniają ludzi. Kalisz podczas Spotkań Teatralnych jest miastem prawdziwie odświętnym. Czuję się to na ulicy, w lokalu, w hotelu — wszędzie. Promieniowanie teatru w te dni jest przemożne.

We wstępie do pięknego wydanego egzemplarza „7 Kaliskie Spotkania Teatralne 2-10. V. 1967” Przewodniczący Prezydium MRN w Kaliszu i przewodniczący Komitetu Kaliskich Spotkań Teatralnych mgr Franciszek Kopyński



Fot. Myszkowski

pisze tak: „(...) Od siedmiu lat, rokrocznie na kilka miesięcy przed Spotkaniami narasta w mieście atmosfera wyczekiwania, zainteresowania i ciekawości — jakie to też będą te kolejne Kaliskie Spotkania Teatralne? Nie chyba w tym dziwnego, jako że dzięki dużemu wyrobieniu teatralnemu kaliskiej publiczności, Spotkania zyskały powszechną sympatię miejscowej widowni, weszły na stałe do tradycji w życiu kulturalnym miasta (...)”.

W tymże numerze Roman Szydłowski podsumowuje niejakie Spotkania zastanawia się nad sensem festiwalu w ogóle, i zachęca do dyskusji. Historia Kaliskich Spotkań Teatralnych jest bogata. Niemalże wszystkie teatry polskie centralnej i innych rejonów stawały w artystyczne szranki w tym najstarszym z miast. Pokazywano na scenie wiele spektakli, wielu dramaturgów: Albee, Beckett, Brecht, Camus, Coenille, Frisch, Hall, Ionesco, Joyce, Miller, O'Neill, Platon, Racine, Sartre, Shaw, Szekspir, Williams i inni. Z polskich autorów: Abramow, Borowski, Choźński, Gęszczyński, Grochowiak, Karpowicz, Kruczkowski, Mielkiewicz, Mrozek, Norwid, Ritter, Różewicz, Słowacki, Witkiewicz, Zabłocki, Zeromski i wielu innych.

Już z samych nazwisk można się zorientować jak szeroki i różnorodny był wachlarz prezentowanych sztuk.

W Kaliszu zdobywali nagrody reżyserzy tej miary: Kazimierz Dejmek, Józef Gruda, Adam Hanuszkiewicz, Ofte Axer, Jerzy Kreczmar, Tadeusz Mine, Henryk Tomaszewski, aktorzy: Danuta Szafarska, Stanisław Lapiński, Jerzy Przybylski, Ignacy

Machowski, Stanisław Mikulski, Czesław Przybyła, Jan Machulski, Ludwik Benoit, Zofia Kucówna, Zygmunta Malawski, Krzysztof Chamiec, Józef Zbiróg. Scenografie: Andrzej Siopka, Adam Kilian, Henri Poulain, Władysław Daszewski, Zbigniew Bednarowicz i Marian Stańczak.

Z przewagi nazwisk łódzkich artystów wynikałyby wnioski, że Łódź teatralna dzierży prym w Spotkaniach, które są „impresją ogólnokrajową”. Byłoby to zbyt pochopny wniosek. We wszystkich bowiem Spotkaniach Kaliskich brały udział co najmniej dwa z czołowych łódzkich teatrów (Nowy, Jaracza i Powszechny), a dwukrotnie wszystkie trzy. Natomiast Warszawę reprezentował na każdym Spotkaniu tylko jeden z teatrów (Dramatyczny, Klasyczny i Powszechny). Żaden z nich nie uczestniczył w szóstych i siódmych Spotkaniach. W ten sposób wydaje się, że ocena Spotkań jako ogólnokrajowego przeglądu najlepszych teatrów polskich jest nieco naciągana, a brak w Spotkaniach chociażby jednego teatru warszawskiego, nawet nie najlepszego, przesądza sprawę.

Udział w Spotkaniach Łódź, Poznań, Gnieźno, Lublin, Zielonej Góry, Kielce, Bielska, Koszalina czy Czesłochy bez Warszawy, Krakowa, Szczecina, Torunia i Rzeszowa nie może nadać imprezie rangi ogólnopolskiej, gdyż nie będzie przeglądem nawet połowy najlepszych teatrów w Polsce. Sądzę, że z tejże przyczyny wyłoniła się konieczność podsumowania siedmiu dotychczasowych Spotkań i chyba znalezienia nowego precedensu, jakiejś idei łączącej dość przypadko-

wy zestaw artystyczny i geograficzny teatrów uczestniczących.

Brak Warszawy przesądził sprawę „przeglądu najlepszych polskich teatrów”. Ogólnokrajowość też aż nazbyt niepełna. Bez udziału teatrów Łódź i Poznań sprawa byłaby prosta: przegląd tych polskich teatrów, które jako jedyne w swoim mieście nie mają żadnych możliwości konfrontacji. Byłoby to impreza wybitnie prowincjonalna, a cel jej byłby problemem osobnej dyskusji. Do takiej sytuacji jednak dojeżdżają Kaliskie Spotkania i stał powód nie tyle do podsumowań, co do zastanowienia. Jasne bowiem wydaje się, że konfrontacje teatrów prowincjonalnych, nawet najodleglejszych terenowo i repertuarowo, nie przyniosą im tyle korzyści, co konfrontacje z udziałem zespołów większych ośrodków teatralnych, chyba że spotkania tego typu potraktuje się jako eliminacje do spotkań na „szczytach”, co wymaga nowych przemysłowych organizacyjno-koncepcyjnych.

Gdyby ktoś chciał dopisać zakończenie do zakończenia historii pana X. Y. to mógłby ono wyglądać tak:

Pewnego lata wakacyjny pan Y. nie zastał na statku jednego ze swoich światłych przyjaciół. Być może ten jeden znalazł inny statek i innych przyjaciół.

Następnego lata pan Y. nie zastał drugiego ze swoich wakacyjnych przyjaciół. Być może ten drugi znalazł ciekawszych przyjaciół.

Następnego lata trzeci... być może czwarty przyjaciel... nie można mieć wielu przyjaciół na jednym małym statku... Został kapitan statku.

Następnego lata pan X. w

dnia przed wyjazdem nie ulegał żadnemu przeistoczeniu. Nikt tego nie zauważył. Co będzie z panem, skromnym urzędnikiem X. jeżeli utraci osobowość wakacyjny pan Y?

Co będzie ze wspaniałą osobowością kaliskiej publiczności teatralnej, jeżeli nie przyjął utytułowani i światli przyjaciele?

Kaliskie Spotkania Teatralne „orientują się na grupę teatrów polski centralnej”. Tak pisze sekretarz Spotkań pan Bohdan Adamczak. Może to jest i rozwiązanie: grupa teatrów polski centralnej bez centrum jako terenowy przedmiot konfrontacji. Spotkania Rzeszowskie i Festiwal Teatrów polski Północnej, jako przedmiot konfrontacji terenowej i Warszawa w wieczne odświętne ubranku, jako stołeczny przedmiot osobnych konfrontacji teatralnych.

Podział aż nazbyt wyraźny, tylko czy funkcjonalny?

Ludzie rosną i miasta rosną. Na przykładzie Kalisza, Rzeszowa czy Torunia widać jak wielkie znaczenie, nie tylko dla kulturalnego, ale i cywilizacyjnego rozwoju miasta, mają imprezy większego formatu. Miejskowy teatr wydaje się później szary, przez cały sezon „staje na głowie”, żeby zaspokoić „delikatsewość” laknienie publiczności. Jest w tym również spora dorażna snobizm, niemniej jednak: człowiek jest nie tylko tym kim jest, ale także tym kim usiłuje być.

Majowa atmosfera festiwalowego Kalisza chwyciła za serce. Również spektakle, które zaprezentowano na 7 Spotkaniach. Za „Meczenstwo i śmierć Marata” Weissa, Henryk Tomaszewski otrzymał Grand Prix. (Teatr Polski w Poznaniu). Pozycja chyba bezdyskusyjna na „turnieju”. Reżyseria Tomaszewskiego, znanego mima, znakomita. Tomaszewskiemu doświadczenia pantomimiczne nie utrudniały ekspozycji treściowej, lecz pomagały w prowadzeniu postaci, których dialog na tie precyzyjnie zakompo-

nowanego ruchu i zbiorowego działania brzmiały dobitnie.

Również interesującą pozycją Spotkań były „Zielone rękawice” Karpowicza. (Teatr Rozmaitości we Wrocławiu). Druga nagrodę za reżyserię tej trudnej, poetyckiej sztuki otrzymał Andrzej Witkowski. Wyróżnienia za grę otrzymali: Józef Zbiróg (Teatr Jaracza w Łodzi) za kreację „W kaukaskim kole kredytowym” Brechta.

Jadwiga Hodorska za tytułową rolę w „Maice Courage” Brechta (Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie), oraz Maria Nowak za „Julie” w „Romeo i Julii” (Teatr im. W. Boguszewskiego w Kaliszu).

Spotkania uświetnił występ Teatru Narodowego z Tuzli. Jęgosłowianie wystawili „Bihorców” Camila Syjanica, sztukę o treści zbliżonej do „Wesela Boryny”. Niezwykle sugestywna i surowa scenografia, świetna gra aktorów, wręcz kapitalna Desa Biogradlija w roli Hałki, bohaterki sztuki, to wszystko sprawiło, że zamknięcie Spotkań występem artystów z Tuzli wypadło naprawdę uświetniająco.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Anna Świrszczyńska — CZARNE SŁOWA, W. Lit. cena zł 15.—

Wanda Karczewska — NOWY WYBÓR WIERSZY, W. Łódzkie, cena zł 25.—

Eliza Orzeszkowa — OPOWIADANIA, Czytelnik, cena zł 12.—

SPEKTAKLE tygodnia

TEATR			
JARACZA (ROZMAITOŚCI)	„Namiestnik”, 3 spektakle	1899 — 100%	
7.15	„Paryżanin”, 3 spektakle	1263 — 100%	
OPERETKA	„Fantastyk rejs”, 6 spektakli	4752 — 75%	
TEATR WIELKI	„Książ Igor”, 1 spektakl	1276 — 100%	
	„Halka”, 2 spektakle	2552 — 100%	
	„Carmen”, 2 spektakle	2552 — 100%	
	„Straszny dwór”, 1 spektakl	1276 — 100%	
Teatr Ziemi Łódzkiej	„Droga do Czarnolasu”, 1 spektakl	213 — 75%	
NOWY	„Trudna miłość”, 4 spektakle	702 — 60%	
	„Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 1 spektakl	700 — 100%	
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	1200 słuchaczy 80%	

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Westerny kochamy wszyscy. Znajdujemy w nich małą rekompensatę ograniczeń nałożonych przez wielką cywilizację XX wieku, znajdujemy w nich wrazenia, które dzieciom dostarcza światła baśni. Dzieci zresztą z takim samym zapalem śledzą dziś opowieści o pasjonujących przygodach Czerwonego Kapurka, jak i perypetie bohaterów „Bonanzzy”. Baśnie rodem z Dzikiego Zachodu na naszych oczach przetrwały jednak wielką ewolucję, bo przecież trudno w tych samych kategoriach mówić o „Strzelbach Anaczów” i powieści o „Kto zabił Liberty Wallace’a”? Westerny z moralnymi i intelektualnymi podtekstami przestały być już tylko zabawą, często jest filmem „tylko dla dorosłych”. Ten epitet przydać również możemy filmowi G. Douglasa pt. „RIO CONCHOS”. Przyzwyczajeni

do pewnego schematu wątku fabularnego i postaci westernu z przyjemnością dostrzegamy w „Rio Conchos” poszukiwania nowych treści i nowego spojrzenia. Opowieść o pełnej ryzyka wyprawie podjętej w celu odzyskania zrabowanego zapasu prochu i amunicji odkrywa nam mniej znane karty z historii Dzikiego Zachodu. Reżyser zrezygnował z banalnej opowieści o szlachetnych lub podłych farmerach czy cównobójcach — indywidualistach, przedstawił nam całą złożoność środowiska ludzi, przy których pomocy stworzono później, co tu dużo mówić, dość jednostronną legendę Zachodu. Wśród bohaterów filmu spotykamy bowiem obok szlachetnego kapitana armii Stanów Zjednoczonych zbuntowanego generała pokonanego Południa, spotykamy Indian broniących swych praw do podbitej ziemi i Indian, gra-

sujących jak bandyci. W wydarzeniach udział brać będzie typowy rzemieślnik Rodrigex i wyjęty spod prawa Lassiter, który przeżywa jednak swój osobisty dramat. W walce ze zbrodniami Murzyn i Indianka. Bohaterowie filmu reprezentują różne rasy, różne prawa i dążenia, walczą o miejsce na tej ziemi, z której jednych chce się wydziedziczyć, a inni — ci z Południa i Północy szukają tam dla siebie azylu. W tej okrutnej walce nie przebiera się w środkach, ofiary i oprawcy zamieniają się rolami zależnie od okoliczności. Nie ma w filmie miejsca na wyrażenie uczucia miłości, czy współczucia dla Indian. Jest jednak obraz krwawych rozpraw, który wiele mówi o prawdziwe tamtych czasach. Szlachetne gesty reżysera są już zbędne, cenimy go za to. A to, że w kon-

cu prawo i szlachetność intencji reprezentuje jednak kapitan armii, która podbiła ziemię nad Rio Conchos? — nie schemat westernu tym obciążymy, ostateczna stronica historii tych krain i czasów zamknęła się już bar dzo dawno. W tym westernie trochę więcej nam o nich powiedziano niż zwykle i dlatego chyba stał się on filmem dla dorosłych, jest brutalny i okrutny, nie ma w nim łatwych kompromisów. Prawdziwych smakoszy i wiel bicieli westernu razić może będzie w tym filmie pewien brak klarowności w prowadzeniu narracji, która przecież tak świetnie prowadziła mistrzowie tego gatunku filmowego. Ale czegoś im się nie przebacza — jak się rzekło — kochamy przecież westerny.



Skoro mówimy już dziś o tym, co kochamy, a co nie, przyznajmy się jeszcze do jednego. Kochamy śmiać się sami ze siebie. Rzadko tych przyjemności dostarcza nam niestety polska komedia, która w najlepszym wypadku pozwala nam się śmiać z syrenki z silnikiem mercedesa, a jeśli już ktoś z żyjących współbraci może nas śmiać, to musi to być osoba bardzo w gruncie rzeczy niesympatyczna (patrz bohaterowie filmu „Kochajmy syrenki” z wyjątkiem oczywiście Jacka Fedorowicza). Lza się w oku kręci, gdy patrzymy na humor, dowcip i inteligencję naszych dalekich przyjaciół znaną Sekwany, którzy w uroczy sposób kpia z siebie, nawet wówczas, gdy chcą się trochę zabawie kosztem swych braci — antagonistów

z drugiej strony kanału La Manche. Robert Dhéry — scenarzysta, reżyser i wykonawca głównej roli w komedii „FRANCJA NAPRZOD!” zrobił film w oparciu o temat pozornie bardzo już wyeksploatowany. Bo któż w świecie nie wie, jak cudownie się nie znoszą Francuzi i Anglicy. Przeciwnościwa ich charakterów, temperamentów i obyczajów dostarczały już niejednokrotnie znakomitych pomysłów kome diowych zarówno ludzom pióra, tak i kamery. Przypomnieć tu choćby może na znakomity „Pamiętnik majora Thompsona”.

Dhéry swych współrodaków wysłał w roli kłobów na mecz rugby do Londynu. I przy tej okazji rozgrywa przewroca, zwiartowaną komedię, w której gag następuje po gaju z tak imponującą szybkością, że widz polski

nad polską komedię westchnąć może dopiero po wyjściu z kina, wcześniej na pewno nie będzie miał czasu. „Francja naprzód!” nie jest памілемem, nie ma w tym filmie miejsca na żadną szyderczą nutę, mimo że jest w nim zawarta spora porcja satyry, przez której pryzmat reżyser patrzy na obie strony — francuską i angielską. Dowcip, kpina i inteligencja idą w tym filmie w parze z sympatią i serdecznym tonem wyrozumienia dla ludzkich przywar i słabostek. Krzykiłymi, niezdysejplinowanym, pełnym zwiartowanych pomysłów, a przecież uroczym Francuzom przeciwstawia Dhéry poczucie godności, opanowanie i zasadniczość Brytyjczyków. Zderzając te przeciwstawne, a znane wszystkim cechy obu narodów, potrafił reżyser spierzyć tnie nieprawdopodobnych pery-

petil zasublonego w Londynie Francuza w mundurze angielskiego policjanta, że przestajemy sobie zdawać sprawę z tego, że w gruncie rzeczy Dhéry posługuje się stereotypami. Czujemy, że jesteśmy w prawdziwym kinie, kinie, które wraca coraz częściej do swych najbardziej wyrobionych wzorców komediowych z czasów filmu niemego. Świat się zmienia, ale ludzie śmieją się zawsze z tego samego. Starzy, walecy mistrzowie niemego ekranu są dobrymi nauczycielami. Dzięki imy panu Dhéry, dziękujemy jego patronom za naprawdę dobrą zabawę.

Eliza Muszyńska

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



„OCZYMA MIŁOŚCI”

Do znanych i popularnych rysowników francuskich należy Peynet. Jego rysunki charakteryzują się swoistym wdziękiem i są tak oryginalne, że autor mógłby ich nie podpisywać. Choć są one w zasadzie satyryczne, a na pewno zabawne, odznaczają się romantycznym urokiem i

swoista galanteria. Autor kreślił nawet pikantne scenki nigdy nie popada w trywialność.

Ostatnio jedno z parzystych wydawnictw publikuje dość obszerny tom rysunków Peyneta zatytułowany „Oczyma miłości”. („Avec les yeux de l'amour”). Rysunków będzie 182, a powstały one w latach 1949—1966.

SMIERĆ NADWORNego POETY

W wieku lat 88 zmarł angielski „poeta-laureat” John Masefield. Godność „poety-laureata” została mu nadana przez koronę brytyjską w roku 1930. Do obowiązków „laureata” należy uświetnianie swą twórczością poetycką wszelkich ważnych wydarzeń związanych z koroną brytyjską i królewską rodziną. Tytuł ten został po raz pierwszy nadany w roku 1670. Pierwszym tego rodzaju nadwornym poetą był Dryden, jakkolwiek już przed nim na wyróżnienie to zasłużył swą twórczością Edmund Spenser i Ben Jonson. John Masefield był już piętnastym „laureatem”. Z godnością tą łączy się wynagrodzenie pieniężne, a mianowicie stała pensja wynosząca 70 funtów rocznie. Ponadto poeci przysługują jedna beczka wina w ciągu roku. Wino to miało korzystać na korzyść

natchnienie. Później jednak beczkę wina zastąpiono ekwiwalentem pieniężnym w wysokości 27 funtów.

John Masefield po ukończeniu studiów w Oxfordzie był jakiś czas marynarzem, a jego podróże i przeżycia znalazły m. in. wyraz w wierszowanym dziele pod tytułem „Morskie ballady”. Krytyka dopatrywała się w tej książce wpływów twórczości Kiplinga.

Jakiś czas Masefield przebywał w Ameryce, gdzie w ciężkich warunkach bytowych wykonywał rozmaite zawody. Wróciwszy do rodzinnej Anglii opiewał wierszami głównie stare obyczaje i angielskie tradycje (np. polowanie na lisa). W roku 1916 John Masefield publikuje wierszowaną opowieść o bitwie pod Gallipoli.

Po roku 1930, kiedy to otrzymał tytuł „poety-laureata”, wiersze jego jak twierdzą znawcy, są mniej udane. Niektórzy tłumaczą to tym, że poe-

ta zbliżał się już do sześćdziesiątki.

W tej chwili w Anglii krąży domysły kto zostanie szesnastym „laureatem”. Wymienia się nazwisko Roberta Gravesa (u nas znany przede wszystkim jako prozaik, w Anglii raczej jako poeta). Ale Graves ma już 71 lat. Następnie wymienia się na ewentualnych kandydatów nazwiska Day Lewisa, Johna Betjemana i 37-letniego Ted Hughesa.

Tytuł „poety-laureata” przyznawany jest przez królową na wniosek premiera.

500 DOLARÓW DLA POKOJU

Amerykański pisarz Justyn Kaplan laureat nagrody Pulitzera za rok 1967 ofiarował 500 dolarów jako dar dla American Friends Service Committee (pacyfistyczna grupa kwakrów). Dar ten jest wyrazem protestu przeciwko polityce prowadzonej przez Amerykanów wobec Wietnamu.

TERMYTY ZJADAJĄ CENNE MANUSKRYPTY

Bardzo cenne i bardzo stare manuskrypty perskie i arabskie padły ofiarą termity. Manuskrypty te były w posiadaniu zmarłego Nizama z Hyderabadu.

WSPOMNIENIA VERCORSA

Autor „Mileczenia morza” Vercors (właściwe nazwisko Jean Bruller) wydał niedawno książkę pt. „La Bataille de silence” (Walka milczenia). Treścią książki są dramatyczne przeżycia z lat okupacji, autora, który brał czynny udział we francuskim Ruchu Oporu.

W 125 ROCZNICĘ SMIERCI STENDHALA

Pełna edycja dzieł Stendhala zaczęła się ukazywać we Francji w roku 1913 (Edition Cham pion). Przerwano ją w roku 1940, a obecnie na skutek starań Koła Bibliofilskiego podjęto na nowo prace nad wydaniem tych pism. Dzieła zebrane objawia powieść „Czerwone i czarne”. Przedstawia napisal Gaston Burnand, autorem wnikliwych objaśnień i cennych przypisów jest znany miłośnik, badacz twórczości i życia Stendhala, autor kilku prac o tym pisarzu Victor del Litto. Radio francuskie w

programie France-Culture zorganizowało z okazji rocznicy stendhalowski tydzień. Pierwszy wieczór tego cyklu poświęcony został opowiadaniu Stendhala pt. „Mina de Venghel”. Utwór powstał w roku 1830, ale w druku ukazał się już po śmierci autora.

Krytycy i badacze twórczości wielkiego pisarza twierdzą, że modelka bohaterki Mina była młoda Niemka Wilhelmina de Griseim, w której Stendhal kochał się przebywać w 1812 r. w Brukseli.

SKROMNE POCZĄTKI WIELKIEGO G. B. S.

Bardzo uboga była letnia „willa” George'a Bernarda Shawa. Możemy



Bernard Shaw na progu swojej letniej „willa”.

ja ujrzyć na zdjęciu w książce Margaret Shenfield, autorki, która ostatnio w serii „Pisarze w obrazach” napisała dokumentalną książkę o Bernardzie Shaw. Dzieło to pisane jest żywo, interesująco i obficie ilu-

strowane. Dowiadujemy się z niej m. in., że G. B. S. nim stał się wielkim dramaturgiem, napisał pięć powieści, które kolejno odrzucały mu różne wydawnictwa. Zajął się następnie działalnością polityczną, dziennikarstwem, krytyką literacką, wreszcie napisał pięć sztuk scenicznych, które zostały przyjęte bez entuzjazmu. Jedną z nich utrzymała się na scenie zaledwie w ciągu dwóch wieczorów, druga zeszła z afisza wprawdzie po jedenastu tygodniach, ale przyniosła deficyt w wysokości 2.000 funtów.

NAGRODA NOWOJORSKICH KRYTYKÓW

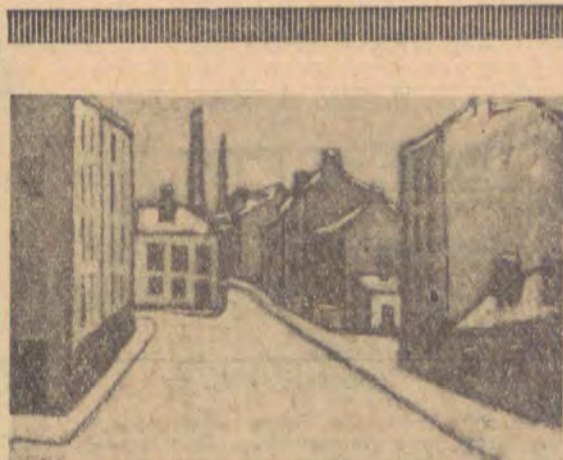
Krytycy nowojorscy uznali za najlepszą sztukę sezonu 1966/67 „The homecoming” (Powrót). Jej autorem jest angielski dramaturg Harold Pinter.

WIECZÓR LITERACKI DLA UCZCZENIA 25 ROCZNICY ŚMIERCI STEFANA ZWEIGA

Dla uczczenia 25 rocznicy śmierci Stefana Zweiga odbył się w Moskwie wieczór literacki. O popularności tego pisarza w Związku Radzieckim świadczy fakt, że jak dotąd ukazało się tam osiem i pół miliona egzemplarzy dzieł Stefana Zweiga.



Powyższe zdjęcie, którego autorem jest austriacki fotografator W. Hengl pochodzi z czasopisma „Foto Prisma”. Zdjęcie wykazuje nie tylko ciekawą kompozycję czerni i bieli ale równocześnie przedstawia scenkę, której temat został potraktowany z prawdziwym humorem, bowiem gęś wglądająca przez okno przybrała niemal ludzką postać.



Wiesław Garboliński.

Pejzaż łódzki.

Z tygodnia na tydzień

W dniach 20—29 maja odbywała się w Łodzi impreza jedyna — jak do tej pory w Polsce: II Giełda Malarstwa Współczesnego. Pierwsza miała miejsce w roku ubiegłym i wszystko wskazuje na to, że będzie to już impreza organizowana co roku. Giełda powstała dzięki inicjatywie Zarządu Głównego Związku Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieży wełny i Skórzanej, Wojskowej Komisji Związków Zawodowych oraz Zarządu Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Organizacje te postanowiły wypowiedzieć walkę panoszącej się jeszcze w naszym społeczeństwie tandencie malarskiej, zaatakować zły gust przeciętnego odbiorcy sztuki, zadbać o jego wychowanie estetyczne. A na drodze do zrealizowania tych zamierzeń — uznano — będzie przyzywać jenie szerokiego ogółu do obezwania z dziełami wartościowymi. I tak właśnie narodziła się giełda, w której nabywcami obrazów mogą być wyłącznie zakłady pracy i zjednoczenia z branży włókienniczej. Nie znaczy to, że zapomniano o nabywcach prywatnych. Dla nich odbędzie się w pierwszej dekadzie czerwca aukcja obrazów pędzla tych samych malarzy, którzy wystawiali swe dzieła na giełdzie. W trosce o możliwości finansowe przeciętnego odbiorcy ustalono, że ceną wywoławczą na aukcji będzie niezwykle niska ce-

na 200 zł. Aukeja stanowi więc będzie nie lada okazją dla miłośników malarstwa (niech przeko- nają o tym ceny obrazów wystawianych w Salonie Związku Artystów Plastyków).

W obecnej giełdzie uczestniczy 45 malarzy ze środowiska łódzkiego wystawiających 171 prac w różnych technikach, przez ważne jednak olejnych. W większości — są to obrazy przedstawiające, figuratywne, realistyczne, nie brak jednakże i bardziej „nowoczesnych” — abstrakcyjnych. Przeciwna cena obrazu wynosi mniej więcej 3.000 zł, ale są i droższe: po 5.000, 6.000 zł lub nawet więcej. Wpływy z giełdy uzbiorowej, na której 50 malarzy wystawiało około 200 prac wyniosły w przybliżeniu 170 tysięcy złotych (sprzedano około 40 prac). W br. wpływy te są nieco mniejsze, wynoszą w przybliżeniu 150 tys. zł przy 42 sprzedanych obrazach.

Często daje się zauważyć pewną niezrozumiałość między tym co się podobnie delegowanym przez zakłady nabywców, a wybrany przez nich dziełami. Znaczy to, że nabywcy starają się dokonywać wyboru pod kątem: „Co może podobać się ogółowi”. Nie stronią jednak od nowoczesności, niekiedy nawet przychodzą z wyraźnym życzeniem „chcielibyśmy kupić coś nowoczesnego”. Giełda malarstwa współczesnego to impreza ze wszelkich miar interesująca i pożyteczna dla obu stron (nabywcy — kształcenie smaku estetycznego, malarze — szeroka popularność twórczości).

Trzeba tylko wyrazić ubolewanie, że trochę za mało rozreklamowana a w związku z tym mijająca jakby niepostrzeżenie.

Notatki na MARGINESIE

Tegoroczny czerwiec — (wg zapowiedzi synoptyków: dżdżysty) — sprzyja grzybobraniam i festiwalom. Oto mój mały festiwalowy kalendarzyk:

8. VI. festiwal poezji w Łodzi, 3. VI. festiwal estrady w Olsztynie, 6. VI. festiwal filmu krótkometrażowego w Krakowie, 7. VI. festiwal teatralny w Rzeszowie, 8. VI. festiwal piosenki radzieckiej w Zielonej Górze, 10. VI. festiwal orkiestr symfonicznych w Ciechojuncach, 11. VI. festiwal teatryków poezji w Pułtusku, 15. VI. festiwal pieśni chóralnej w Międzyzdrojach, 17. VI. festiwal muzyki organowej w Kamieniu Pomorskim, 17. VI. festiwal Teatrów Polskich Północnej w Toruniu,

18. VI. festiwal plastyczny w Sopocie, 22. VI. festiwal polskiej piosenki w Opolu, 23. VI. festiwal amatorskich filmów krajoznawczych w Olsztynie, 25. VI. festiwal chorów chóropięcych w Poznaniu, 27. VI. festiwal muzyki organowej w Oławie.

UFF! Bodałoby moje wrogi musiały uczestniczyć w tych wszystkich czerwcowych festiwalach!

Jeśli nie na festiwal — to gdzie jechać? W roku turystycznym — oczywiście z wycieczkami Orbisu, Sport Turystu itp. — na południe, nad Adriatyk albo zgola w niespokojne rejony Morza Śródziemnego, gdzieś na Bliski Wschód, za jedyne 15 czy 25 tysięcy.

Wycieczki zagraniczne — jak wiadomo — są powszechnie dostępne, bierzemy w nich udział cały nasz świat pracy, włókiennicze, tramwajowe, robotniczy roli, listonosze i sprzątacze. Szczególnie licznie wyjeżdża świat pracy statkiem „Batory” na Wyspy Kanaryjskie.

Myszę, że nadal nasz wypróbowany świat pracy nie będzie się uchylał od tego nużącego obowiązku

i weźmie udział np. w wyjeździe na Expo do Montrealu. Trzeba przecież przywykać do dalszych tras — to nakaz epoki w której żyjemy. A po wycieczkach Orbisu na olimpiadę do Melbournu, kto wie, czy nie czekają nas masowe „pracownicze” wycieczki wczasowe w kosmos (cena od 250.000 zł wstępu, oczywiście tylko za okazaniem legitymacji Związków Zawodowych).

Cierpieć na zaburzenia gastryczne. Boli mnie wątroba nawet po małym kęsie mięsa (to na myśl o afezynie mięsnej), gnacie mnie w dołek po śledziku (to na myśl o afezie śledziowej) pali mnie żgaga na wet po jednym głębszym (to na myśl o afezie spirytusowej).

Lekarz zaleca mi dietę jarzynową. A ja się boję, że sezon przyniesie nam jakąś aferę truskawkową, szpinakową, botwinkową, marchewkową lub buraczkową. I co wtedy?

Jesteśmy narodem obrazobalcim. Myślałem o tym, patrząc na ciekawy czeski film pt. „Oskarżony”, który poznaliśmy dzięki telewizji.

Gdyby taką film nakre-

ono u nas, niechybnie na realizatorów i scenarzystów obraziliby się:

- sędziowie, ■ ławnicy ludowi, ■ prokuratorzy, ■ obrońcy, ■ świadkowie obrony, ■ budowniczości elektrowni, ■ przewodniczący rad zakładowych, ■ sekretarze organizacji partyjnych, ■ milicjanci, ■ służba więzienna, ■ oby watele odbywający karę więzienia, ■ i tzw. „rzese szarych obywateli”.
- Nie wspominam już w ogóle wiceministrów z tej przyczyny, że u nas nie ma wiceministrów zbluorokratyzowanych i nie dotrzymujących danego słowa. A takiego wiceministra widzieliśmy w tym czeskim filmie.
- Oczywiście obrażenie w/w osoby i osobistości sprawiłyby naszym realizatorom i scenarzystom nieco przykrości. Film prawdopodobnie nie zostaby nakręcony. Na jego miejsce — w plan produkcji WFF — weszłaby barwna epopeja pt. „Kochajmy Toto-Lotka” z Łazuka i Federowiczem w roli głównej. Dzięki temu zamiast filmu o ciężkiej problematyce otrzymalibyśmy jeszcze jedną perlistą komedie.
- A w Czechosłowacji nakręcono „Oskarżonego” — i film uzyskał wysoką na-

grode na festiwalu w Karlovych Varach.

Autor Ziemi Obiecanej — doczekał się pomnika, ale nie w Łodzi, lecz na wsi podłódzkiej. Bo w naszym mieście każda wzmianka o budowie jakiegokolwiek pomnika kończy się — z zasady — okrzykiem: nie z tego, nie ma pieniędzy! Wkrótce już ulegną rozbiórce i domy — ten, w którym się urodził i ten, w którym Tuwim spędził lata szkolne. Wtedy nareczcie skończy się nieodpowiedzialna gadanina, by zorganizować w jednej z tych czynszówek łódzkie muzeum literatury, poświęcone naszym „lulejszym” tradycjom kulturalnym. A może by przyspieszyć te rozbiórki? Będzie wreszcie spokój, będzie po kłopotach...

Spróbujcie państwo następującego eksperymentu: w towarzystwie zrelacjonujcie na chłodno i bez zaangażowania uczuciowego, jakąś straszliwą makabry: ot, dla przykładu, choćby historię dwóch chłopczek — z podstawówek, którzy pod nieobecność rodziców nędzem kuchennym pokrajały babcię na drobne

kawałeczki. Jeśli macie choć odrobinę talentu naracyjnego — gwarantuję, że obecni wysłuchają tej krwawej relacji z zapałym oddechem.

Właśnie na taki pomysł wpadł nasz polski filmowiec, pan Polański: wycytałszy w gazecie o mordzie w szpitalu, dokonanej przez schizofreniczkę, wzbogacił historię w drobniutki opisy objawów choroby, i zrobił film (angielski). Ponoć genialny.

Pan Polański uczył się długie lata filmowego rzemiosła, zresztą za pieniądze polskiego podatnika. Teraz wspomaga naszego geniusza znakomity operator i świetna aktorka oraz cały bogaty, nowoczesny aparat produkcji filmowej. A także słuszną jego filmową roszkadę o światowych koneksjach. Na jednego widza przypada więc ciżba tzw. cineastów, zdecydowanych na wszystko: cóż dziwnego, że spektakl kończy się naszym zupełnym pogromem.

Jak to dobrze, że nie jestem krytykiem filmowym! Nie muszę analizować reżyserskiego warsztatu pana Polańskiego, zresztą istotnie sprawnego. Nie muszę wznosić okrzyków zachwytu na jego cześć. Jako pusty widz (a nie emulor) mam prawo

wzruszyć ramionami i stwierdzić, że we „Wstręcie” nie dopatryłem się ani śladu dramatu. Dramat w sztuce musi bowiem zawierać element ludzkiego wyboru, musi osadzać czoło wieka. A „Wstręt” jest tylko „naturalistycznym” obrazem rozwoju pewnej choroby. Podreżnki psychiatry zawierają setki setek naruszy podobnych do prezentowanego nam przez pana Polańskiego. I każdy z nich zwał z nog najtwardszego nawet widza.

Ponieważ współczesna sztuka jest aukcją okrucieństwa i perwersji, trzeba więc przyznać, że Polański dokonał istotnie wielkiego odkrycia: w każdym razie odkrył prawdziwą złą żywję i swymi filmami będzie na pewno opatował miliony neurastenicznym widzów oraz krytyków, którzy mu zapewne nie odmówią rangi geniusza. Nawet jeśli się poślą, że rzeczone filmy Polańskiego są oparte o trik, którego działanie można sprawdzić opowiadając w towarzystwie wymyślona historię kuchennym itd., itp. jak wyżej.

Wiesław Garboliński

PRZEKŁĘTY ŚLAD

1.

Czarnożyły, niewielka osada w powiecie wieluńskim; przy głównej ulicy, którą wyznacza fragment przelotowej szosy; jest Klub „Ruchu”, poczta, gospoda, kościół, kiosk, jeszcze jedna knajpa — prywatna, i zabudowania Państwowego Gospodarstwa Rolnego z ponurym akcentem na gorzelni.

Mżyło od samego rana, a potem przez cały dzień. Szukaliśmy jakiegoś schronienia, aby rozprostować nogi, ale Klub „Ruchu” był akurat zamknięty, kartka w drzwiach, że kierowniczka ma w Wieluniu posiedzenie; więc weszliśmy do gospody „Przystań”. Siedzieli paru chłopów w czapach na głowie, paru robotników sezonowych w obłożonych gumiakach, i trochę bananowej młodzieży w stębnowanych kurtkach ze sztucznego tworzywa. Te kurtki mają to do siebie, że nie chronią przed zimnem, ale za to dają poczucie pewności, i kto coś takiego włoży, ten jest na wsi za kozaka.

Kozak — to w powszechnym, fałszywym mniemaniu: zręczny, cwany, wojowniczy człowiek. Myślą niektórzy, że kozak wywodzi się od Chmielnickiego. Mówią:

— Kozak doński!

Inni, ci na bakier z geografii i historią, łączą kozaka z Hamletem. Mówią:

— Kozak duński!

Na wsiach — też już zapomnieli, od czego ta nazwa pochodzi. Kozak, to kozak, i już! W mordę chłopu chłopu uderzy — to jest kozak.

Ale rzecz się przedstawia inaczej. Kozak ma polski rdzeń i ludowy rodowód. Kozak — to wiejskie chłopie biegające za kózkami, po zielonych łąkach z różą w ręce.

Człowiek, o którym chcę pisać, którego tropem przemierzaliśmy czterysta kilometrów — był najprzód kozakiem od kóz, potem kozakiem od pięści. Był więc podwójnym kozakiem.

Teraz jest podwójnym mordercą.

2.

Kiedy weszliśmy do „Przystani”, wszyscy akurat o nim mówili — chłopie w czapach, robotnicy w gumianych, obłożonych kaloszami i bananowa młodzież w stębnowanych kurtkach.

On się szkolił na szofera pierwszej kategorii. Od małego miał dryg do motorów i ludzie pamiętają, jak szarżował, sadził bez trzymanki po szosach, drogach i drózkach. Z początku mieli w rodzinie „Jawę”, potem WSK. Posiadali także własny cianik, do obróbki rozległego pola. W ogóle — Wolni, to zamężna rodzina: murywany dom w centrum osady, telewizor ze strzebiłą anteną... Pietrkowi i jego młodszemu bratu na niczym nie zbywało.

Parę miesięcy temu, zima, Piotr Wolny przyjechał do domu z wojska na kilkudniowy urlop. Miał szczęście. Trafił akurat na zabawę, na wiejską zakrapiankę, która odbywała się w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej.

Grał sławny zespół z Wielunia — Cyklony. Piękna nazwa — CYKLONY. Ale myśli się ten, co myśli, że Cyklony, to trzy gitary elektryczne i perkusja, prowincjonalne popluczyny po Beatlesach... Nic podobnego. Cyklony — brzmie to groźnie, nie z tej ziemi — ale skład tu tradycyjny — bęben,



dwie harmonie, dwa puzony, i jakaś pękata balałajka. Repertuar też tradycyjny — walczyki, skoczne oberki i tanga. Pytam się dziewczęta z Czarnożył, co najlepiej oni grają. Odpowiada jedna:

— Kumparsite.

— La — mówię.

— Tak, La, la, la — zaczyna nucić tę swoją ulubioną Kumparsite, popisując numer Cyklonów.

Wiece owego wieczoru, przy nostalgicznych dźwiękach Kumparsity, Piotr W. wkroczył na salę. Powiało grozą. Niektóre pary zniechęciły się do parkietu. Ktoś odszedł chyłkiem od bufetu i przemknął na dwór pod ścianami.

Na wsi ostre, wulgarnie słowa padają gęsto — tym bardziej na zabawach. Nikogo to specjalnie nie razi. Ale Piotr W. dał taki koncert, pluł z siebie takie przekleństwa, że do komendanta OSP, który był jednocześnie kierownikiem zabawy i odpowiadał za spokój — podchodziły dziewczęta i miejscowa starszyzna, z propozycją, aby Piotra usunąć. Wice komendant przyrzekł się bacznie oskarżeniemu, który żył, kłął teraz kilka osób personalnie, buszując po całej remizie. Czapkę, ciskał pod podłogę, wkładał na głowy kolegom. Komendant podszedł do Piotra i zwrócił mu grzecznie uwagę:

— Co jak co — powiedział — ale na moich zabawach takie słowa nie przechodzą.

— To może pan wyjdzie ze mną? — zapytał Piotr.

I kiedy wyszli, rzucił się na człowieka, który mógłby być jego ojcem. Ale komendant ma w tych sprawach wprawę. Nie wiem dokładnie, jak Piotra ustawił, chociaż odnalazłem go i rozmawiałem kilkanaście minut. To postawny, ogoryzany mężczyzna o uciepłej, dobrej twarzy i dużych, rolniczych dłońach. Prawa ręka wykonał krótki, szybki gest, więc nie wiem jak Piotr ustawił, może się tylko domyślać. Potem powędrował na posterunek MO i tam

— Co jak co — powiedział — ale na moich zabawach takie słowa nie przechodzą.

— To może pan wyjdzie ze mną? — zapytał Piotr.

I kiedy wyszli, rzucił się na człowieka, który mógłby być jego ojcem. Ale komendant ma w tych sprawach wprawę. Nie wiem dokładnie, jak Piotra ustawił, chociaż odnalazłem go i rozmawiałem kilkanaście minut. To postawny, ogoryzany mężczyzna o uciepłej, dobrej twarzy i dużych, rolniczych dłońach. Prawa ręka wykonał krótki, szybki gest, więc nie wiem jak Piotr ustawił, może się tylko domyślać. Potem powędrował na posterunek MO i tam

funkcjonariusz wpisał coś Piotrowi w dokumenty, a w kilka dni później zawędrował gdzie trzeba raport o Piotra zachowaniu. Piotr miał wówczas powiedzieć:

— Poczekajcie! Ja jeszcze wrócę.

3.

Wracał, jak wiemy, 28 kwietnia. Kołował po drogach, i około godziny 8.30 zły los popchnął go do Brzeźnicy w powiecie pajęczanskim. Wyszedł mu naprzeciw młody chłopiec w milicyjnym mundurze, pełniący o tej wczesnej porze swoje drogowe powinności. Kapral Zbigniew Przytuła był wzorowym milicjantem. Kapral Zbigniew Przytuła zmusił Piotra W., aby się zatrzymał, i kiedy przeglądał Piotrowi prawo jazdy, zniechęca, tak, cholernie zniechęca...

Ale ja wyprzedzam kolejność wydarzeń. Ja jeszcze nie jestem w Brzeźnicy. Ja jeszcze kluczę po zawilich, czarnożyłskich drogach, szukając ludzi, którzy znali Piotra Wolnego, którzy widzieli jak wzrastał, jak pasał kozy, jak rozbił się po wsi na motorze marki „Jawa”, i marki „WSK”, jak kłął na całe gardło, jak wygrażał, jak zaczepiał dziewczyny i brylował w gronie rówieśnych.

Ci rówieśnicy uśmiechają się dziwnie, kiedy z nimi rozmawiam. Mówią o nim: Pietrek. Wszyscy go znają.

— Był moim kolegą — mówi jeden.

— Nigdy nie nawalał — mówi drugi.

— Żeśmy razem niejedną flachę odpili — mówi trzeci.

Coś mi to przypomina. Proces tych z Żyrardowa. Zaraz po żyrardowskiej tragedii, jechałem pociągiem pośpiesznym do Warszawy i tuż za Żyrardowem mój pociąg stanął. Jakaś przeszkoła na linii. Obok nas, na sąsiednim torze, czekał na sygnał pociąg Żyrardów — Warszawa. Postój przelagł się w nieskończoność i grupa wyrostków z żyrardowskiego pociągu przesiadła się na nasz. Zobaczył to konduktor. Zażądał dopłaty.

— To pan nam powinien dopłacić — powiedział zaczepnie perkaty smarkacz. — Za czekanie.

— Niech pan uważa — powiedział konduktor. — Żebym nie wezwał milicji.

— Te, konduktor! — odpalił smarkacz. — Sam uważaj, bo znowu cała Polska będzie wstrząsnęta!

Patrzę teraz na twarze chłopaków z Czarnożył. Dla nich, tragedia dwóch milicjantów i kula w brzuchu mordercy — to przegoda, tylko przegoda... Dla nich jest ważne, że go znali.

A inni ludzie w Czarnożyłach, choć chętnie rozważają losy Piotra Wolnego między sobą, z obcymi na ten temat rozmawiają niechętnie. Czego się boją? Zemsty? — Wyprosiłem kiedyś jednego rozrabiacza z zabawy w tej samej remizie — wspomina komendant OSP. — Pamiętliwy był. Dwa lata na mnie polował. Aż kiedyś wyszedłem daleko w pole, i tam skoczył na mnie z nożem. Nóż jest u prokuratora.

4.

I wtedy Piotr Wolny strzelił. Młody, dwudziestoparoletni kapral Przytuła, funkcjonariusz MO w Radomsku obronnym gestem zastonił pierś. Ale ręka ludzka jest dziurawa tarczą. Ręka ludzka jest z ciała. A kula z metalu. Kiedy przejeżdżający samochód podwiózł Przytuła na pocęcie w Brzeźnicy — już nie żył. Rękę tylko wciąż trzymał na piersi, załamana w geście zdziwienia, rozpacz, w geście wyrzutu.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Brzeźnicy, w miejscu gdzie było morderstwo zobaczyłem dwóch wsiwłych chłopaków. Stali na szosie, szukając w dziurach asfaltu śladów krwi.

— Co się tu stało? — zapytałem.

— Tu zabił człowieka — powiedział ten wyższy, płowowłosy.

— Tu zamordowali człowieka — powiedziałem.

— Tak — poprawił. — Zamordowali.

— A gdzie mieszka ten listonosz, co zawiadomił milicję?

— W Starej Brzeźnicy. Ale on teraz jest chyba w Nowej Brzeźnicy. U matuli.

Pojechaliśmy do Nowej Brzeźnicy, potem do Starej, potem na pocztę, gdzie urzędniczka patrzyła na nas przestraszonym wzrokiem.

— Już po godzinach urzędowania — powiedziała.

— A gdzie może być listonosz Lacki?

— W domu.

— Nie ma w domu.

— To u matuli.

— Nie ma u matuli.

— To pewnie w polu. Ziemiaki obrabia.

Pojechaliśmy w pole grząską, miękką drogą. Lacki orał w siwego konika. To młody mężczyzna, krzepki, w pocztowej czapce na głowie. Opowiadał, jak wydzwaniał naraz kilka posterunków, jak zgłosiło się Pajeczno, jak przy pocztę przelazono zwołki Przytuły z ciężarówką na samochód osobowy, żeby je odwieźć do szpitala. Kabura u pasa Przytuły była odpięta, pusta. Morderca wybrał także zabitemu amunicję. I ruszył oszalały na Grabiec, a monter, który w tym czasie dojeżdżał do Brzeźnicy — w ostatniej chwili uskoczył mordercy spod kół.

W Grabcu jedna z dróg okazała się ślepa. I grząska. Morderca porzucił wóz. Śmierć, kolując wiejskimi drogami, szła na Działoszyn. Ale wyłoty dróg były już zamknięte. Wsie, miasteczka, osady — czekały na mordercę. Ludzie nie szczędzili pomocy. Ogromny pierścień powoli się zamykał.

5.

Do Działoszyna. Obok cementowni. Na dworzec PKP. Tam go poznał ktoś z Punktu Skupu Ziemiaków, z takiej malej, drewnianej budki. Wolny zdążył jeszcze wejść do przydworcowego sklepu, zajmującego parter murowanego budynku. Tłok. Przeciśniętą się do lady. Ludzie w ogonku szwargotali wściekle. Nagle umilkli. Zdziwieni. Taka twarz, choćby najbardziej opanowana, nosi piętno. Taka twarz jest napięta strachem. W dodatku — to ubranie. Zakurzone, utyłane w błocie. Podniosły się szępty. Zaczęły się czegoś niecierpliwie. Wziął tylko kawałek kiełbasy. Bez bułki. Można zabić i jeść kiełbasę. Wyskoczył na drogę i ruszył w stronę rzeki. Ale poszedł za nim meldunek. Milicja, dwa helikoptery, gończe psy... Idziemy jego tropem. Wyboista droga, pas lasu, szeroka, biała wstęga leśnej szosy, znowu las, znowu jakaś wyboista dróżka. Nagle wolna przestrzeń — ogromna płaszczyna zieleni. I Warta. Z lewej strony niebieskawa konstrukcja mostu. Ciemna, połyskliwa woda. Zagajnik, gdzie się przeznął. Brzezina. I pare niewielkich sosenek. Teraz tu śpiewają ptaki. Ale na drzewach są jeszcze ślady od kuli.

Otoczyli go ze wszystkich stron. Z powietrza. Nie miał szans. Mógł tylko podnieść ręce do góry. Ale — nie! Chciał jeszcze strzelać. Mógł przeciw strzelić do siebie. Wołał strzelać do innych. Zginal plutonowy Jan Wsławi. Funkcjonariusz Zmotoryzowanego Oddziału MO w Piotrkowie Trybunalskim. Zginal w dwudziestym siódmym roku życia. Osierocił żonę, trzyletnie dziecko, osie rocił nas wszystkich, bo jak mówi poeta — śmierć każdego człowieka uśmierca i ciebie, bowiem jesteś zespolony z ludzkością.

Po śmierci dostał order. Ale order nie przywrócił mu życia.

Dostał kwiaty. Ale kwiaty więdna.

Mówi się, że będziemy o nim pamiętać. Ale pamięć ludzka jest krucha.

Zresztą — pamięta się obok ofiar — morderców. Denoch, Kot, Wolny — ich też będziemy pamiętać. Oni wszystko robią, żeby ich zapamiętać. Do ostatniej chwili — czynim, bezczelność. Choć podły strach dusi gardło. Wszystko dla pamięci. Dla miłości, który podchwytują następni — o tępym twarzach i kamiennych sercach.

Więc trzeba coś z nimi zrobić. Trzeba ich wyrzucić z pamięci.

I z życia.



Lewym okiem

OBROT OBOKGOTÓWKOWY

Jak wiadomo, przeważająca część naszego aparatu gospodarczego we wszystkich pionach produkcji, usług, handlu, transportu — mianowicie sektor uspołeczniony — uczestniczy w systemie obrotu bezgotówkowego wprowadzonego w życie ponad dwadzieścia lat temu i konsekwentnie rozszerzanego na coraz nowe kategorie jednostek gospodarczych. Na dobrą sprawę wśród uczestników obrotu bezgotówkowego pieniądź przestał być potrzebny. Stał się abstrakcyjną jednostką miary, jak metr, gram, sekunda. Można by nawet zastąpić złotówkę — minutą. Za naprawę buta, trwającą dwadzieścia minut, zapłacić szewcowi przejażdżką statkiem po Wiśle, trwającą tyleż samo czasu, albo dwudziestominutowym filmem, albo sałcesonem, po który stało się w kolekcje dwadzieścia minut.

Faktyczny obrót banknotami i bilonem okazuje się natomiast nadal niezbędnym w sferze gospodarki indywidualnej, prywatnej, choć można

go i tu — o czym przed rokiem pisał Kopański — ograniczać na rzecz stosowania książeczek czekowych, jak w Ameryce. To na później. Tymczasem idziemy do sklepu z czerwonymi powierkami w ręku, wsiadamy do tramwaju z krążkiem metalowym w dłoni, za przepracowany w biurze miesiąc otrzymujemy papierki brązowe, trochę mniej niż byśmy chcieli, trochę więcej niż potrzeba żeby wyjść przez pół miesiąca. Tak jest najwygodniej i każdy obywatel — Ty, on, ja — musi mieć pieniądze. Obrót gotówkowy.

W naszym skomplikowanym świecie istnieje jednak i zapowiada się coraz świetniej trzeci rodzaj obrotu: obokgotówkowy. Posiadanie mamony nie przestaje być bynajmniej warunkiem koniecznym, natomiast traci z dnia na dzień walor warunku wystarczającego. Coś jeszcze trzeba mieć. Wszyscy pracownicy Służby Zdrowia zostali oficjalnie zwolnieni (cytujemy za „Polityką”), ze stania w kolejkach w aptekach i przychodniach. Pracownicy Filmu Polskiego kupują bilety do kin nie stojąc w kolejce. Więc pracownicy Filmu kupują bilety dla siostr miłosierdzia, a siostry miłosierdzia zaopatrują filmowców w psychodrynę.

Sąsiadka z góry pracuje w sklepie z obuwaniem, więc powie sąsiadce z dołu, że jutro rano należy przyjść po kozaczki. W zamian za to sąsiadka z dołu, kasjerka w delikatesach zatrzyma sąsiadkę z góry chwilek kilo chudej szynki.

Kolega z przemysłu załatwi w szybkim terminie wymianę byle jakiego płaszczka ortalionowego na płaszcz o właściwym rozmiarze, którego w handlu nie ma, koleżde kolejarzowi, który w zamian w dniach letniego szczytu dostarczy bez zachodu bilety dla całej rodziny do Uski i jesz-

czę zajmie przedział w pociągu, że nawet nie trzeba będzie wchodzić przez okno.

Znajoma fryzjerka powie długim rzędem czekających pań w Sylwestra o naszej żonie — „ta pani już tu była”, a nasza żona pomoże synowi fryzjerki w odpowiednim czasie i z odpowiednimi szczegółami, czego nikt przecież wobec osób nieznanymi nie czyni.

Możliwości takich ułatwień bytowych następczą się co krok, w tysięcznych wersjach, które dobrze znacie. Trzeba tylko znać jak najwięcej ludzi, trzeba się uśmiechać, wszędzie i zawsze uśmiechać, obiecująco, życzliwie, dziękczynnie, sprytnie, w sposób oddziałujący nas od tłumy, mającego zaledwie pieniądze.

Takie rozgąszone grono znajomych, krewnych, znajomych i znajomych krewnych znajomych jest najzupełniej wymiernym majątkiem, takim jak portfel zamówień dla kapitalistycznego przedsiębiorcy, jak pakiet polis dla agenta ubezpieczeniowego. Śmiem twierdzić, że ten właśnie majątek (bardziej niż ich mężów, bo to one mają „na głowie” większość uciążliwych spraw bytowych) z domem, ulicą, działnicą, miasteczkiem, niż wężły rodzinne, względy urodzenia, sentyment, miejsce pracy. Nie wiem jak taką więź nazwał socjologowie. Chyba zresztą dopiero nazwą, bo rzecz jest dość nowa i nie przebadana. Czy używają tę więź za społecznie konstruktywną, czy destruktywną?

Krzywdzi się przecież nikomu przy tym nie dzieje, żaden przepis nie jest naruszony. Za każdą rzecz i usługę płaci się normalną, pełną, urzędową cenę, tyle, że oprócz niej... Obrót obokgotówkowy.

CWIEK